



Czy w łódzkim Lunaparku będą bawiły się dzieci?

Karuzelom na pochybel?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

str. 5

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

— I na co niby oczekują?

— Nie wie pan? Na zagraniczny wyjazd, do pracy w cyrku, lub lunaparku, ale za marki, dolary, korony. Rocznie z ZPR-ów wyjeżdża około 50 osób; najlepsze „fuchy” to oczywiście RFN, Szwecja, Austria, trafiają się i Stany Zjednoczone i Szwajcaria.



Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Niedziela, 1 listopada 1987 roku.

Nie wybieram się na Haiti

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NUMER 45 (1545)

ROK XXX

7 LISTOPADA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

- 70 lat temu i później — str. 3
- Każdemu, ile sobie załatwi — str. 7
- Absurdy placowe w Polsce — str. 2
- Kiedy sztuka dostaje zakaleca — str. 9
- Polski kościółek w Kiszyniowie — str. 13

Nie wybieram się na Haiti, choć ktoś mi opowiadał, że klimat tam wspinał się, nie trzeba martwić się o odzież zimową i opał, mieszkać można na upartego pod dachem z palmowych liści, przyroda też wyżywi. Jedynym mankamentem tego „raju na ziemi” jest fakt, że po ulicach chodzą ludzie i strzelają bez uprzedzenia. Można zatem żyć wygodnie i nagle rozstać się z tym „najlepszym ze światów”. Ale nie to jest powodem tego, że nie wybieram się na Haiti.

Nie wybieram się bowiem też do Szwecji, Anglii, RFN, Danii, Holandii czy Francji, ani nawet do NRD. Nie wybieram się za granicę, gdzie wybiera się sporo moich rodaków, aby w taki czy inny sposób, nie zawsze zgodnie z kwalifikacjami i umiejętnościami, zarobić parę groszy i później żyć w Polsce w dostatku i spokoju. Nie zazdroścę im tego dostatku, ani ich wewnętrznej spójności, ale też nie aprobuję takiej postawy życiowej. Gdyż — moim zdaniem — trzeba tak w Polsce ułożyć wszelkie sprawy, aby ludzie zdolni, z inicjatywą i kwalifikacjami mogli spokojnie dorobić się — uczciwą pracą, bo tylko o tym mowa — w kraju. Od dłuższego czasu — od 1980 roku dokładnie — powtarzam bowiem z uporem, że w Polsce nie przestrzega się podstawowej zasady socjalizmu: od każdego według jego zdolności, a każdemu według jego pracy.

Podjęmiano już kilka razy próbę „reformowania” naszego systemu plac, ale zawsze — a może raczej w większości wypadków — było to dodawanie jedynemu, bo nie można dodać wszystkim. Tymczasem chodzi o to, aby struktura plac była taka, że każdy rzeczywiście wie, iż dostanie „według pracy”. To prowadzi jednak do zniesienia przywilejów. A to już — jak w dawnej Polsce szlacheckiej — budzi sprzeciw i nie ma zgody. Każdy chętnie by coś wziął, nie ma chętnych do oddawania.

Mamy 29 listopada 1987 roku rozstrzygać o tempie przeprowadzonych zmian, mamy rozstrzygać o zakresie demokratyzacji. Spora część naszego społeczeństwa wypowiada takie lub inne uwagi na temat przeprowadzonych reform. Niektórzy zajmują nawet skrajne stanowisko i powiadają, że reforma się nie udała. Inni utrzymują, że nie wszędzie ją w jednakowym stopniu wprowadzono, że nie do wszystkich dotarła. Nie spieralibyśmy się o to, bo obserwując działania różnych dziedzin życia istotnie można dojść do wniosku, że I etap reformy wprowadzono głównie w teorii i w sprawozdaniach. Ale nie o to mi chodzi. Teraz bowiem każdy może się wypowiedzieć, czy jest za szybkim tempem przemian, bo do tej pory to tempo było niższe od oczekiwań. Ale niektórzy odpowiadają, że oni są — owszem — za reformami, jednak wypowiadać się nie będą, bo ich pyta się o rzeczy oczywiste. Ktoż w Polsce może być przeciwny postępowi? Może! Może i to nie jeden czy dwóch.

Jakoś w większości dyskusji — tych nieoficjalnych — mówi się nie o programie reform, nie o ewentualnych zastrzeżeniach co do istoty, nie o szerokości proponowanych reform politycznych, ale ich... cenach. Placę i ceny — to najważniejsze tematy rozmów. Nie dziwię się. Rozumiem bowiem, że każdy chciałby mieć jak najwięcej, że chciałby dobrze zarobić i... nie napracować się. Tylko, że takiego luksusu nigdzie nie ma. Ludzie, którzy jadą dorabiać się na Zachód wiedzą, jak się trzeba tam naprawdę napracować. Skoro więc rozumiem niepokój ludzi z powodu, że przyjdzie im żyć w trudniejszych warunkach, że będą musieli się ograniczyć, to skąd moje zastrzeżenia?

Otóż — według mnie — odrywanie sprawy cen i plac od całej złożoności naszej nie tylko gospodarczej rzeczywistości jest poważnym błędem i do niczego nie prowadzi. W moim przekonaniu problem plac i cen trzeba widzieć w kontekście tej złożonej rzeczywistości. Czy ja — jako pracownik — mam rzeczywisty wpływ na to, aby w moim zakładzie pracy płacono wedle pracy, a nie wedle widzimisie? Czy istnieje taki system, który ten wpływ mi zapewnia? Czy umiem z niego korzystać? Czy tym zakładem pracy kierują ludzie, którzy potrafią widzieć dalej niż poza płot przedsiębiorstwa? I tak dalej. To właśnie jest demokratyzacja, jej istota. To powinno być przede wszystkim przedmiotem dyskusji, bo od tego zależy reszta.

Byłoby też dobrze zastanowić się nad tym, jak spowodować, by prawo wartości funkcjonowało w handlu, a nie na czarnym rynku. Przecież nowy samochód kosztuje dziś mniej niż stary na giełdzie. Ale — mówią na to niektórzy — dzieje się tak dlatego, że istnieją „asygnaty” na samochody po niższych cenach i te asygnaty są formą wynagradzania „biernych, wierznych i miernych”. Coś w tym jest. Może więc znieść asygnaty. I już słyszę, jak uprzywilejowani wołają: Veto! Nie ma zgody!

Dlatego — zastanawiam się — w Polsce kolorowy telewizor uznany został za przedmiot zbytku, choć powinien być przedmiotem pierwszej potrzeby, jako instrument komunikowania się i edukacji? Dlaczego w sklepach „Domaru” stają kolejki „stańczy”, którym płaci się po 10 000 złotych za jeden egzemplarz tego niebywałego zbytku? — Bo mamy mało telewizorów, a dużo chętnych — słyszę w odpowiedzi. — No, dobrze — można na to powiedzieć — a co robili planiści? Liczyli nie umieli? Można było przecież przewidzieć rozwój popytu i dostosować do tego podaż.

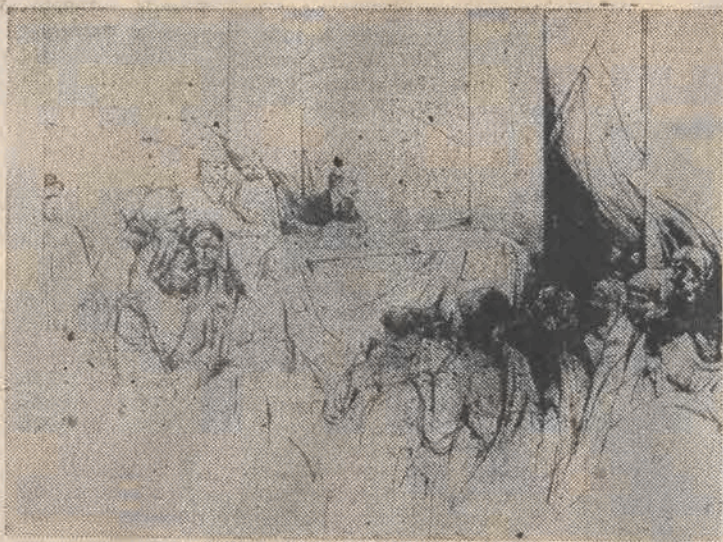
Dużo jest takich tematów, nad którymi nie tylko warto, ale trzeba podyskutować. To nic, że już któryś raz. Może do tej pory dyskutowaliśmy niewłaściwie, może nie tych argumentów używaliśmy, może nie mieliśmy siły przekonywania, a może nasza wiedza była za mała. Dziś, gdy stajemy przed koniecznością wyboru: szybko i radykalnie, czy wolno i coraz gorzej, bo inni nie będą czekać — dziś nie można uchylać się przed dialogiem. I właśnie dlatego nie wybieram się na Haiti, bo podczas mojej nieobecności ktoś może zupełnie inaczej zreformować to, co zreformować trzeba, a ja chciałbym wziąć w tym udział, i mieć pewność, że ode mnie też coś zależało.



Foto: Grzegorz Galasiński

70 lat temu i później

MARIAN WILK



Spacerując rok temu ulicami Paryża, zauważyłem w jednej z witryn księgarskich książkę zatytułowaną „Najwybitniejsze postacie XX wieku”. Okładkę tej książki ilustrowały fotografie trzech osób: prezydenta de Gaulle'a, amerykańskiej aktorki Marilyn Monroe i Włodzimierza Lenina. Lenin w towarzystwie Monroe — ciekawe zestawienie. Lenin oczywiście symbolizował rok 1917 w Rosji — rok, który stanowił wydarzenie o wymiarze ogólnoswiatowym. Ciekawe też wraca się do niego w badaniach naukowych, w publicystyce i literaturze pięknej. Nie może to dziwić, jeżeli weźmiemy pod uwagę konsekwencje obywateli rewolucji rosyjskiej — najpierw obalenie caratu a nieco później przejęcie władzy przez robotników i chłopów. Świat nie wierzył początkowo doniesieniom agencji telegraficznych o destrukcji Mikołaja II, z jeszcze większym niedowierzaniem czytano o utworzeniu rządu robotniczego z Leninem na czele. Przypomnijmy podstawowe fakty.

Abdykacja Mikołaja II została przyjęta przez większość mieszkańców Rosji z radością. Z nowym rządem łącono nadzieje na poprawę sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej. Największą osobliwością ówczesnej sytuacji była tzw. dwuwładza: istnienie, obok Rządu Tymczasowego jego administracji — rad delegatów robotniczych i żołnierskich, a na wsi — chłopskich (parobczerskich). Trzeba dodać, że Rada Piotrogrodzka odgrywała rolę przewodnią, centralną.

Rząd Tymczasowy, kierowany początkowo przez księcia Georgija Lwowa, podjął działania zmierzające ku normalizacji życia państwa, obradując dniami i nocami, gdyż najrozsądniejszą sprawą do załatwienia było mnóstwo. Przede wszystkim likwidowano to, co było symbolem władzy carskiej: zniesiono karę śmierci i sady wojenne, dano dymisję gubernatorom i wicegubernatorom, na miejsce których powołano komisarzy Rządu Tymczasowego, zlikwidowano Korpus Żandarmerii i specjalne oddziały policyjne (ochrana). Rząd Tymczasowy popierał zarówno siły liberalno-burżuazyjne, zgromupowane wokół partii konstytucyjnych — Demokratów i Stronnictwa Pracy (trudowicy) — jak i proletariacko-rewolucyjne, którym przewodziły partie socjalistowo-rewolucjonistów (eserowców) i socjaldemokratów (ta ostatnia podzielona na dwie frakcje: bolszewików i mieniszewików). Działalność partii lewicowych skupiała się w radach. Inne ważne decyzje Rządu Tymczasowego dotyczyły amnestii dla więźniów politycznych oraz problemów narodowościowych, w tym także i sprawy polskiej: 16 (29 w nowego stylu) marca 1917 r. Rząd Tymczasowy ogłosił manifest, w którym stwierdzono, że Polacy mają prawo do niepodległości. Dwa dni wcześniej podobnej treści odezwę opublikowała Rada Piotrogrodzka. Wydarzenia rewolucyjne wprowadziły wielkie ożywienie wśród Polonii rosyjskiej, jak i uchodźców-Polaków, których ogólna liczba sięgała 4 milionów osób.

To, co robił Rząd Tymczasowy, przynosiło początkowo pozytywne rezultaty: nastąpił dzień wolności, jakich nie znała dotąd Rosja. Charakterystyczne było one swobodą zgromadzeń, zebrań i wieców oraz nieskrępowaną działalnością publiczną. Z zagranicy wracali emigranci, a z zestania działacze różnych partii. Po czterdziestu latach wygnania powrócił „ojciec” rosyjskich marksistów — Jerzy Plechanow z Europy Zachodniej przyjechali też inni działacze rosyjskiego ruchu robotniczego: Juliusz Martow, Paweł Axelrod (mieniszewicy), Maria Spiridonowa (z partii eserowców).

Do odczytów postanowił po-

wrócić także przywódca partii bolszewickiej — Włodzimierz Lenin, przebywający w Szwajcarii. Był to moment o wielkiej doniosłości. Dzięki poparciu niemieckich socjaldemokratów, drogą przez Niemcy i Finlandię, Lenin wraz z towarzyszami powrócił do Rosji. Wiozący go pociąg przyjechał do stolicy 3 (16) kwietnia o godzinie 23. Był to wielkanocny poniedziałek, a mimo to na Dworcu Finlandzkim zgromadziły się tłumy wiwatujące na cześć Lenina. W sali recepcyjnej dworca oczekiwała go delegacja Rady Piotrogrodzkiej z jej przewodniczącym mieniszewikiem Mikołajem Czecheldze. Z dworca odjechał Lenin do siedziby partii bolszewickiej — pałacu Matyldy Krzywińskiej. Następnego dnia na zebraniu Komitetu Centralnego i Komitetu Piotrogrodzkiego bolszewików oraz członków bolszewickiej frakcji na Ogólnorosyjską Konferencję Rady Lenin wygłosił referat programowy, który przeszedł do historii pod nazwą Tez Kwieśniowych.

Ferment rewolucyjny objął również wieś, która czekała na nowe nadzieje. Już w kwietniu 1917 r. doszło do pierwszych, po obaleniu caratu, potężnych fal strajków. Maj i czerwiec przyniosły dalszy wzrost niezadowolenia z polityki Rządu Tymczasowego. W pierwszych dniach lipca tłumy wyległy na ulice Piotrogradu, domagając się oddania radom władzy.

Nastąpiła reorganizacja rządu: nowym przewodniczącym Rady Ministrów został Aleksander Kiereński, adwokat, zbliżony do partii eserowskiej, dotychczasowy minister wojny i marynarki.

Wydarzenia z lipca 1917 r. stały się pretekstem dla Rządu Tymczasowego do podjęcia działań zmierzających do zduszenia rewolucji. Przywrócono karę śmierci na froncie, aresztowano bez śledztwa wielu działaczy bolszewickich, zdemolowano lokal redakcji i drukarnie „Prawy”. Szczególnie jednak rozgłoszono nadano oskarżenie skierowanemu przeciwko Leninowi o jego rzekomej działalności na rzecz Niemiec. Informacje o tym, jakoby Lenin otrzymywał pieniądze od Niemców, miały uzasadniać tezę, że to właśnie bolszewicy winni są temu, że kraj pogrążył się w chaosie. Do sprawy powyższej powrócono i później w różnych pamiętnikach i opracowaniach. Próba kompromitowania Lenina była chwytem w walce politycznej, w której bolszewicy dzięki swemu radykalizmowi, zyskiwali coraz większe poparcie mas.

Wydarzenia z początku lipca 1917 r. wprowadziły do życia w Rosji wiele nowych elementów. Przede wszystkim zakończył się okres dwuwładzy, gdyż Komitet Wykonawczy Rady Piotrogrodzkiej nie potrafił zająć samodzielnego stanowiska w interesie klasy robotniczej, ulegając w tym czasie wpływom rządu. Nagonka przeciwko bolszewikom świadczyła o tym, że do przesady należała wolność, która przyniosła rewolucja lutowa. Bolszewicy w związku z tą sytuacją zmienili też swoją taktykę: uznali, że rząd w aktualnym składzie nie może przejąć władzy, a więc pokłóty okres rewolucji zakończył się i tylko powstała zbrojna może doprowadzić do zwycięstwa rewolucji socjalistycznej. Lenina nakłoniono, aby ukrył się poza stolicą.

Wkrótce Rosja przeżyła nowy wstrząs. Oto bowiem gen. Ławrientij Kornilow — głównodowodzący armii rosyjskiej — podjął pod koniec sierpnia próbę dokonania przewrotu państwowego i wprowadzenia dyktatury wojskowej. Generał nie miał ambicji politycznych, ale odznaczał się wielką odwagą, energią i dlatego został uznany

przez kręgi prawicowe za człowieka, który zaprowadzi w kraju porządek. Aleksander Kiereński podobno zwrócił się do Ławrientija Kornilowa z prośbą o przysłanie do Piotrogradu dywizji konnej dla ochrony rządu przed spodziewanym atakiem bolszewików, ale później wypierał się tego kroku.

Próba przewrotu państwowego spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem. Na wezwanie partii robotniczych, związków zawodowych, a także dum miejskich i organizacji społecznych tworzono komitety walki z kontrrewolucją. asztowano, wstępowano do szeregów Gwardii Czerwonej. Gen. Aleksander Krymow — dowódca korpusu, który miał zająć Piotrogrod — popełnił 30 sierpnia samobójstwo. Kornilow został aresztowany wraz z innymi generałami 1 września 1917 r.

Udaremnienie puczu Kornilowa wzmocniło autorytet partii bolszewików. Proletariat dokonał zwrotu w lewo. Rady wzywały się do polityki uspołeczenia, stawały się coraz potężniejsza siła rewolucyjna. Nastąpił okres ich bolszewizacji. Już 31 sierpnia (13 IX) 1917 r. Rada Piotrogrodzka przybrała bolszewicką rezolucję o władzy. Rada Moskiewska uczyniła to w tydzień później. W rezolucji tej powiadano, że należy gruntownie zmienić całą politykę ugodowości i nieodpowiedzialnych posunięć, która doprowadziła do zagrożenia procesu rewolucyjnego, a jedynym wyjściem jest utworzenie przez przedstawicieli proletariatu i chłopstwa orszaku władzy państwowej.

Przygotowań do powstania nie można było ukryć. Wiedzieli o nich Rząd Tymczasowy i próbował im przeciwdziałać. W nocy 15 (28) października 1917 r. komisarze i inspektorzy Zarządu Milicji dokonali wizytacji w wielu dzielnicach robotniczych. W pobliżu siedziby rządu — Pałacu Zimowego — wystawiono posterunki i umocniono obronę artylerijską. Aleksander Kiereński liczył na poparcie oddziałów frontowych i dlatego żądał od Kwatery Głównej w Mohylewie, by tak najszybciej wysłała wojska do Piotrogradu. Apele te nie przyniosły rezultatu i dlatego Rząd Tymczasowy mógł oprzeć się tylko na korpusie funkrow (słuchaczy szkół oficerskich), na oficerach ze szkół wojskowych i garnizonie Pałacu Zimowego — w sumie miał do dyspozycji około 10 tys. osób. Cóż to była jednak za siła w porównaniu ze 150 tysiącami żołnierzy garnizonu piotrogrodzkiego i dziesiątkami tysięcy marynarzy operujących w rewołucję? Oczywiście taka proporcja sił istniała tylko w Piotrogrodzie, ale właśnie stolica miała odegrać główną rolę w Rewolucji Październikowej.

W nocy z 25 na 26 października (7—8 XI) 1917 r. na II Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad powołany został rząd rewolucyjny (Rada Komisarzy Ludowych) składający się wyłącznie z bolszewików. Jego przewodniczącym wybrano Lenina. W skład Rady Komisarzy Ludowych wchodził ponadto m.in.: Aleksy Rykow (sprawy wewnętrznych), Włodzimierz Milutin (rolnictwo), Wiktor Nogin (handel i przemysł), Lew Trocki (sprawy zagraniczne), Józef Stalin (sprawy narodowościowe). II Zjazd Rad obradował w napiętej atmosferze, gdyż przedstawiciele prawniczych eserowców mieniszewików i innych ugrupowań oskarżyli bolszewików o zagrożenie władzy „hipokryzją polityczną” itp. Mówiono, że aktualny kryzys należy rozwiązać drogą pokłową. Pozytywne stanowisko wobec wydarzeń październikowych zajęli natomiast lewicowi eserowcy, którzy na początku grudnia utworzyli własną partię. Nieco później uzyskała ona przedstawicielstwo w Radzie Komisarzy Ludowych.

Niezwykle doniosłą rolę miały odegrać pierwsze dekrety uchwalone przez zjazd — dekret o pokoju i dekret o ziemi. Pierwszy przedgawany był w formie wezwania do narodów i rządów państw prowadzących wojnę, by zgodziły się na trzymiesięczne zawieszenie broni, aby można było przeprowadzić w tym czasie rozmowy pozwalające na zawarcie sprawiedliwego pokoju. Dekret o ziemi postanawiał, że natychmiastowej

likwidacji, bez żadnego wykupu, podlega własność obszarowa. Dysponentami dóbr obszarowych, cerkiewnych i klasztornych stawały się tzw. komitety rolne i rady powiatowe. II Zjazd Rad podjął inne jeszcze uchwały, np. o zniesieniu kary śmierci na froncie i powołania Ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego jako najwyższego organu ustawodawczego i kontrolnego w okresie między zjazdami rad.

Realizacja uchwał II Zjazdu Rad mogła być podjęta dopiero po całkowitym zwycięstwie rewolucji i dlatego tak ważne było tempo zdobywania przez rady władzy w terenie. Było ono różne w zależności od udziału sił w poszczególnych miastach i guberniach. Istotne było jednak to, iż proces rewolucyjny objął całą Rosję, a wieść o obaleniu Rządu Tymczasowego zachełwała do walki. Już 27 października (9 XI) rozpoczęło się powstanie zbrojne w Moskwie, które miało o wiele bardziej krwawy przebieg niż w Piotrogrodzie. Wkrótce droga powstań zbrojnych była droga pokłowa rady przejęły władzę w wielu innych miastach Rosji. Można powiedzieć, że na przełomie 1917/18 roku zwycięstwo rewolucji socjalistycznej stało się faktem. Do ostatecznego sukcesu było wszak daleko, gdyż te grupy społeczne, które utraciły władzę i majątki nie zrezygnowały z walki o odzyskanie swych pozycji. Skupiając się głównie na obszarach kresowych, gdzie układ sił klasowych był dla nich bardziej korzystny, podjęli od wiosny 1918 zbrojną walkę przeciwko bolszewikom.

Zwycięstwo bolszewików w rewolucji rosyjskiej zrodziło natychmiast pytanie: jaka ma być ich przyszła polityka, zwłaszcza w aspekcie wewnętrznym, aby dzięki uzyskanej władzy doprowadzić do stworzenia społeczeństwa socjalistycznego, a w dalszej perspektywie — komunizmu? Chwila bieżąca z całą ostrością stawiała na porządku dnia problemy gospodarcze i społeczne narosłe przez lata wojny. Kraj był zrujnowany gospodarczo, coraz bardziej dawało o sobie znać rozprężenie wewnętrzne oraz brak żywności i innych podstawowych produktów. Zdobyć władzę było sprawą wielkiej wagi, sprawować ją znacząco stawiać czoła ogromnej masie złożonych problemów, zupełnie nowych dla aktywistów bolszewickich.

Jednym z pierwszych rozporządzeń rewolucyjnej władzy były dekrety o nacjonalizacji przemysłu, transportu i handlu. Miały one w założeniu potwierdzić ogólnonarodową własność środków produkcji i dystrybucji, a zarazem stworzyć rządowi możliwość skutecznego oddziaływania na gospodarkę kraju. Sytuacja wymagała zastosowania radykalnych środków. Cały potencjał gospodarczy musiał zostać zmobilizowany dla celów obrony kraju i rewolucji, wyposażenia armii. Partia uznała, że właściwa mobilizacja gospodarcza i arozwinięcie zapewnić może tylko drastyczny, ale doraźnie skuteczny model zarządzania gospodarczego — komunizm wojenny. Dokonano militarystycznej wielu dziedzin wytwórczości, ściśle centralizacji poddano całą gospodarkę, ograniczono do minimum działanie mechanizmów rynkowych tak pieniądze, kredyty, finanse, brawo podaży i popytu w ustalaniu cen. Wprowadzono tzw. ceny sztywne, które przybrały wkrótce charakter symboliczny. Fall spekulacji starano się położyć tamę przez wprowadzenie surowego systemu represji. Większość produkcji przemysłowa była z fabryk bez jakiegokolwiek zapłaty. Na wieś ruszyły oddziały awaryjne. Komunizm wojenny nie był polityką ekonomiczną konstruowaną: był koniecznością wynikłą z potrzeb chwili.

Komunizm wojenny praktycznie zlikwidował handel, wprowadzając rozdzielnictwo żywności. Żywność ze wsi, teźli docierała do miast, to w coraz większym procencie dostarczana przez prywatnych pośredników i kombinatorów. Wprowadzony przez władze municypalne system kartkowy przyczynił się tylko w niewiel-

kim stopniu do opanowania sytuacji, tym bardziej, że normy przydziałowe były minimalne. Na przykład w 1918 r. w Moskwie na kartki pierwszej kategorii (dla robotników fizycznych) wydawano dziennie około 200 gramów chleba i niecały kilogram ziemniaków.

Nawet w samej partii rosły z biegiem czasu opory przeciwko kontynuowaniu polityki komunizmu wojennego. Skutki wyrugowania mechanizmów rynkowych stały się bowiem powodem znacznego zaostrzenia sytuacji w republikach i ułatwiali agitację antyrządową. Wartość globalnej produkcji przemysłowej dochodziła w roku 1920 zaledwie do 14 proc. stanu z roku 1913. Większość przedsiębiorstw po dewastacji była nieczynna. Stosunki na wsi — szczególnie zaostrzone. W 1921 roku wieś dostarczyła do miasta trzykrotnie mniej płodów rolnych niż w okresie przedrewolucyjnym. Próbuąc przeciwdziałać, partia początkowo skłoniła się w kierunku rozwiązania polegającego na bezpośrednim przejściu do komunizmu wojennego do komunizmu. Na przełomie lat 1920 i 1921 Rada Komisarzy Ludowych wydała dekrety o bezpośrednim przekazywaniu konsumpcji towarów bezpłatnie. Miało to w zamysłu doprowadzić do całkowitej likwidacji systemu pieniężnego i tradycyjnych stosunków towarowych. Posunięcia te, wobec znacznego rozprężenia gospodarki, okazały się zdecydowanie przedwczesne.

Dyskusja nad metodami wybrnięcia z kryzysu gospodarczego doprowadziła do walk frakcyjnych w partii. W ich trakcie na przełomie lat 1920 i 1921 zarysowały się trzy platformy: dziesięciu (bądź: leninowska), trockistowska oraz grupy opozycji robotniczej i centralizmu demokratycznego. Przy jednakowym celu, którym było opanowanie sytuacji i stworzenie podstaw budownictwa socjalistycznego — różniły się proponowane metody. Sprawy te zostały rozwiązane na X Zjeździe RKP (b), obradującym w dniach 8—16 marca 1921 r.

Zjazd, na wniosek Lenina, zgodził się rozpowszechnić przed obradami tzw. platforma dziesięciu, postanowił odejść od komunizmu wojennego i wbrew „lewakom” podjął uchwałę precyzującą nowy kurs polityki gospodarczej kraju, zwany potocznie NEP (nowąja ekonomiczka polityka). Przywrócone zostały podstawowe mechanizmy: wykorzystanie rynku, obiegu pieniądza i handlu. Zamiast ściąganych dotąd ze wsi pod przymusem repartyteli, wprowadzono podatek żywnościowy. Wysokość tego nie była stała: miało ją każdorazowo określać przed sieciem wiosennym. Ustalono też ściśle terminy wnoszenia podatku żywnościowego. Nadwyżka, która została po salceniu podatku, mógł chłop dowolnie rozporządzać. Zlikwidowany został system kartkowy, rozwiązano sieć handlu przywracając koncepcję małych sklepików prywatnych. Przedsiębiorstwa rozmoceły działalność na zasadach rentowności i rachunku gospodarczego. W pewnym zakresie dopuszczono nie tylko do handlu, ale też do przemysłu element kapitalistyczny. Gospodarka przybrała model quasi-etatyzmu, państwo regulowało kredyty, podatki, ceny, dostawy obowiązkowe. Był to nawrót do koncepcji głoszonej przez Lenina jeszcze w 1918 r., które wówczas — z uwagi na wojnę domową — zarzucono. Dla republik radzieckich NEP — choć z pozoru był przejawem regresu ideologicznego — stanowił etap konieczny, zapewniający zaplecze gospodarcze (akumulację) dla dalszego socjalistycznego rozwoju.

21 stycznia 1921 r. w wyniku ciężkiej choroby, zmarł twórca partii i państwa radzieckiego Włodzimierz Lenin. W ostatnich dwóch latach życia nie był on już w stanie angażować się w pracę partyną i państwową w takim stopniu jak poprzednio, niemniej wywierał wpływ na wszystko to, co się istotnego w kraju działo. Gdy go zabrakło, dyskusja która toczyła się w partii nad

perspektywami rozwoju kraju, przybrała ostrą formę. Trzyosobowe kolegia kierownicze, które stały na czele partii po śmierci Lenina (Józef Stalin, Lew Kamieniew, Grigorij Zinowiew) musiało przede wszystkim przezwyciężyć opozycję grupy Lwa Trockiego, forsując potępną już przez XII Zjazd partii platformę tzw. dyktatury przemysłu.

Działania tej grupy łączyły się z niewiarą w możliwość budowy socjalizmu w jednym odosobnionym kraju. Obradując w maju 1924 roku XIII Zjazd RKP (b) potępił działania grupy Lwa Trockiego i wypowiedział się za kontynuacją dotychczasowej polityki gospodarczej. W celu zacieśnienia więzi miasta ze wsią podjęto uchwałę o przyspieszeniu rozwoju przemysłu lekkiego, rozszerzeniu taniego kredytu państwowego dla wsi, o rozprawieniu się ze spekulacją i lichwą, o wyparci z handlu inicjatywy prywatnej. Jako główne zadanie pracy partyjnej na wsi wysunięto hasło rozszerzania kooperatywy wiejskiej i pełnego uspołeczenia wsi.

Rozpoczęty, na polecenie zjazdu, proces likwidacji elementów kapitalistycznych, a faktycznie ograniczenia i wypierania NEP, zakończył się ostatecznie w połowie lat trzydziestych. Niemniej rok 1924 tworzy wyraźny moment zwrotny, kończy walkę z kapitałem prywatnym w sferze koncepcji, a zaczyna w sferze praktyki. Partia zamyka pewien okres polityki wewnętrznej, która okazała się konieczną i dalekowszerna, otwierała punkt wyjścia do kolejnych radykalnych posunięć (planowanie narodowe, kolektywizacja).

Spór o model gospodarki kraju i strategię polityki gospodarczej nie został jednak zakończony, odżył z nową siłą w 1925 r. Przez cały rok 1925, a szczególnie w kwietniu, w związku z XIV Konferencją Partyną trwała ostra walka wokół koncepcji perspektywicznego rozwoju gospodarki radzieckiej. Na tym tle zarysowały się trzy platformy: Nikołaja Bucharina — pokłowągo wrastania elementów kapitalistycznych w socjalizm; tzw. nowej opozycji (Zinowiew, Kamieniew) i platforma autarkii gospodarczej (Stalin). Nowa opozycja wypowiedziała się za nawiazaniem jak najszybszej współpracy z Zachodem, przede wszystkim zaś z Niemcami, które poprzez tzw. Plan Dawesa (odbudowy gospodarczej) miały — jak się spodziewano — w krótkim czasie dysponować poważnymi nadwyżkami produkcji przemysłowej. Wynikała ta koncepcja z niewiary, by kraj mógł w ciągu najbliższych lat osiągnąć odpowiedni stopień rozwoju przemysłu ciężkiego i maszynowego. Józef Stalin natomiast uważał, że należy nawet największym wysiłkiem doprowadzić kraj do samowystarczalności gospodarczej.

Lata następne przyniosły wiele wydarzeń w życiu wewnętrznym ZSRR. Budowa nowego ustroju nastroczała ogromne trudności. Sukcesy w rozbudowie przemysłu przeplatały się z dramatycznymi wydarzeniami towarzyszącymi procesowi kolektywizacji rolnictwa.

Wszystko to miało miejsce w atmosferze wzrastającego z każdym rokiem kultu sekretarza generalnego WKP (b) Józefa Stalina. Po dwudziestym Zjeździe KPZR w 1956 roku wyrażono wiele nieprawidłowości towarzyszących budowie podstaw socjalizmu. Nowe warunki, jakie istnieją obecnie w ZSRR stwarzają szansę, że nasza wiedza o tamtych wydarzeniach będzie coraz pełniejsza.

21 stycznia 1921 r. w wyniku ciężkiej choroby, zmarł twórca partii i państwa radzieckiego Włodzimierz Lenin. W ostatnich dwóch latach życia nie był on już w stanie angażować się w pracę partyną i państwową w takim stopniu jak poprzednio, niemniej wywierał wpływ na wszystko to, co się istotnego w kraju działo. Gdy go zabrakło, dyskusja która toczyła się w partii nad

Armia ŁÓDŹ powstała w marcu 1939 roku. Dowodził nią gen. dyw. Juliusz Rómmel. Zajmowała ona pozycje obronne na kierunku przewidywanego uderzenia wojsk niemieckich. Dysponowała 5 dywizjami piechoty i dwoma brygadami kawalerii a także kilkoma baonami Obrony Narodowej. Miała osłaniać Łódź i Piotrków. Przygotować uderzenie z rejonu Sie-radzka w kierunku zachodnim na nieprzyjaciela działającego w rejonie Kalisz-Koło. Trzy-mać łączność z armią KRAKÓW i nadzoro-wać kierunek Radomsko-Skarżysko.

GISZ w marcu 1939 roku oddał do dyspo-zycji poszczególnym armiom siły lotnicze. W ich skład wchodziły eskadry lotnictwa rozpo-znawczego, obserwacyjnego, myśliwskiego oraz plutony łącznikowe. Oddano do dyspozycji ar-miom 10 eskadr lotnictwa myśliwskiego. Zle-cono im następujące zadania: zwalczanie lot-nictwa nieprzyjaciela w obszarze działania armii; osłonę własnego lotnictwa w strefie walk; branie bezpośredniego udziału we wspie-raniu działań naziemnych armii. Do wykona-nia tych zadań przeznaczono siły bardziej niż skromne: 106 samolotów i 148 pilotów.

Zle przedstawiała się także sprawa sprzętu: były to samoloty PZL-P-11a i PZL-P-11c. By-ły wolniejsze i słabiej uzbrojone niż niemie-ckie, aczkolwiek w momencie opracowania konstrukcji, tj. w połowie lat trzydziestych zaliczały się do najlepszych na świecie. Jesz-cze gorzej wyglądały możliwości starszych od nich PZL-P-7a, których dwie eskadry zna-la-zy się także w lotnictwie armijnym. Prę-d-kość maksymalna P-11 stęgała 375 km/h a P-7a zaledwie 327 km/h, wobec 570 km/h nie-mieckiego Messerschmitta 109 E1. Także i u-zbrojenie było nieporównywalne. Czterem km jakie miał ME 109 P-11c mógł przeciwstawić zaledwie dwa, P-7a nie miał teoretycznie w ogóle żadnych szans, gdyż był uzbrojony w często zacinające się i psujące karabiny Vic-kers 7,7 mm. Był jeszcze znacznie silniej u-zbrojony Messerschmitt Me 110. Praktycznie zresztą każdy bombowiec wroga był i szyb-szy i silniejszy. W związku z tym szanse na zwycięstwo miał jedynie atak z przewagi wy-sokości.

Duże znaczenie miała również organizacja sieci dozoru telefoniczno-radiowej, której głównymi punktami były posterunki obser-wacyjno-meldunkowe. Sieć ta na początku walk działała dość sprawnie. Miała ona wady, do których należało m.in. posługiwanie się zwy-kłymi liniami telefonicznymi. Nie sprzyjało to utrzymaniu tajemnicy wojskowej. Ponadto by-ło mało radiostacji, i tych naziemnych i tych pokładowych w samolotach (miały je na ogół tylko P-11c). Ale o faktycznym stanie rzeczy wiedzieli tylko nieliczni. Zresztą i oni podob-nie jak większość społeczeństwa liczyli na po-moc sojuszników.

2.

Lotnictwo armii ŁÓDŹ dowodzone przez płk. pil. Wacława Iwaszkiewicza z m.p. w Julia-nowie koło Łodzi miało jednostki bojowe:

- 32 Eskadrę Rozpoznawczą,
- III/6 Dywizjon Myśliwski,
- 63 Eskadrę Obserwacyjną,
- 66 Eskadrę Obserwacyjną,
- 10 Pluton Łącznikowy (w dyspozycji sze-ści łączności armii) oraz jednostki służb lot-nictwa: kompanię lotniskową nr 7 składającą się z różnych plutonów i drużyn specjalisty-cznych.

Dywizjon myśliwski III/6 wchodzący w skład lotnictwa armijnego składał się z dwu es-kadr: 161 wyposażonej w 10 PZL P-11c i 2 PZL P-11a oraz 162 mającej 10 PZL P-7a.

Dywizjon zmobilizowano 25.08.1939 r. na lot-nisku Skitów we Lwowie. Następnego dnia po południu rzut kolowy transportem kolejo-wym odjechał ze Lwowa. 27 sierpnia po przy-byciu na stację Lublinek koło Łodzi i rozłado-waniu przewiezionego sprzętu na lotnisko Wi-dzew-Zdąry. Lotnisko to było rykiem po owie, którego nie sprzątnięte całkowicie kopy posłużyły do maskowania. Personel techniczny wyrównał powierzchnię przyszłego pola wzło-tów. Przebiegający przez skrajem rów granic-ny (istniejący do dziś) porośnięty tarniną po-służył jako rów przeciwdziałkowy będąc do-godnym schronieniem w przypadku nalotów. We wsi, za kościołem, urządzono stanowisko karabinu maszynowego OPL. Po drugiej stro-nie drogi przebiegającej wzdłuż lotniska stał pałac-dwór właściciela majątku, Niemca na-zwiskiem Herse. W pałacu tym przewidziano kwatery dla dowództwa i pilotów. Pozostały personel zajął budynki folwarczne. W parku postawiono namioty zaplecza technicznego i gospodarczego. Rozwieszono anteny i zainsta-lowano radiostację.

31 sierpnia 1939 roku pozostający we Lwo-wie mjr pil. Stanisław Morawski otrzymał rozkaz natychmiastowego przelotu na lotnisko alarmowe Basidówka koło Lwowa, skąd po po-łudniu odleciał do Widzewa.

Samoloty zamaskowano, częściowo na lotnis-ku, a częściowo pod lipami przy drodze.

Już w tej fazie działania nie obyło się bez strat. Ppor. pil. Rebański przy lądowaniu roz-bił maszynę. Eskadry lądowały o zmroku przy złej widoczności i w nieznanym terenie. Jesz-cze w nocy rozbity samolot odesłano do re-montu na Okęcie. Wybuch wojny zastał dy-wizjon przygotowany do walki.

Walka ta zapowiadała się niezwykle ciężko, gdyż rejon obrony armii ŁÓDŹ był głównym kierunkiem natarcia wojsk niemieckich na Warszawę. Towarzyszyła temu znaczna kon-centracja niemieckiego lotnictwa myśliwskie-go i bombowego. Ani teoretycznie, ani prak-tycznie nie było możliwe przeciwstawienie się tak znaczącym siłom niewielką ilością, i to w dodatku przestarzałym samolotów.

3.

1.09.1939 r. skład osobowy dywizjonu III/6 przedstawiał się następująco:

Dowódca Dywizjonu — mjr pil. Stanisław Morawski.
Oficer taktyczno-operacyjny — por. pil. Ta-deusz Jeziorowski.
Oficer techniczny — ppor. techn. Władysław Gandor.
Lekarz dywizjonu — por. lek. Stanisław Po-krzywnicki.

Łódź: historia, wspomnienia, relacje



Stanisław Morawski



Piotr Ruszel

Lotnicy polscy w walkach armii „Łódź”

EDWARD KOCENT-ZIELIŃSKI

161 Eskadra

Dowódca — kpt. pil. Władysław Szczepi-niewski.

Zastępca dowódcy — por. pil. Władysław Goetel.

Oficer techniczny — ppor. techn. Kazimierz Dereń.

Szef mechaników — st. majster wojsk. Wła-dysław Popielewski.

Szef administracji eskadry — st. sierż. Wła-dysław Zieliński.

Piloci: por. pil. Robert Janota, ppor. ppor. Jan Dzwonek, Tadeusz Koc, Kazimierz Rebań-ski, Marian Trzebiński, pchor. pchor. Edward Kramarski, Andrzej Malarowski, Wiesław Choms, Piotr Ruszel, st. sierż. Prymus Gry-gulowicz Kusziński, plut. plut. Marian Domaga-la, Franciszek Prętkiewicz, kpr. kpr. Feliks Gmur, Antoni Serebny, st. sierż. st. sierż. Karol Sumara, Stanisław Węgliński.

162 Eskadra

Dowódca — ppor. pil. Bernard Groszewski.

Zastępca dowódcy — por. pil. Jan Wiśni-ewski.

Oficer techniczny — ppor. techn. Tadeusz Niemcewicz.

Szef mechaników — st. majster wojsk. Ka-rol Sumara.

Szef administracyjny eskadry — st. sierż. Wojciech Chuchra.

Piloci: ppor. ppor. Czesław Głowczyński, Zbigniew Szubert, Zdzisław Zadroziński, pchor. pchor. Antoni Dziegielewski, Franciszek Kor-nicki, Ryszard Łopacki, kpr. kpr. Kazimierz Kobusiński, Jan Malinowski, Jan Rogowski, Zdzisław Urbanczyk, st. sierż. st. sierż. Tadeusz Andruszkow II, Zbigniew Brzeźniak, Michał Krzyszkowski.

4.

Działalność obu eskadr dywizjonu opierała się, jak wspominałem, na sieci dozoruwania, która podawała informacje o przelotach wro-gich maszyn, ich liczebności i kierunkach. Da-ne telefoniczne były, przekazywane pilotom przez radiostację.

Wyprawy bombowe, osłanianie przez roje my-śliwców przechodziły często bezpośrednio nad

lotniskiem. Zmuszało to pilotów do walk nad nim, do startów i lądowań w bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela. Było wprost niemożli-wością utrzymanie istnienia lotniska w tajem-nicy w takich warunkach. Ponadto w Łodzi i okolicy działała V kolumna dysponująca a-gentami i radiostacjami. Jedną z takich ra-diostacji wykryto w Widzewie, likwidując ją i aresztując obsługę. Ponadto dywersanci kil-kakrotnie podchodzili do lotniska, strzelając i alarmując posterunki. Ze względu na te oko-liczności należało przenieść dywizjon na inne lotnisko najpóźniej 2 września 1939 roku. Jed-nak zmiana lotniska spowodowałaby zerwanie łączności z centralą dozoruwania, i ten argu-ment przeważał. Czy było to słuszne, czy nie, trudno oceniać, ale jak się okazało, decyza-ja kosztowała 5 zniszczonych samolotów i roz-bitą radiostację.

Ppor. pil. Czesław Głowczyński relację swo-ją spisał w r. 1940.

„Był to drugi dzień wojny. Było nas trzy-dziesięciu kilku, a maszyn dwadzieścia (jedna zo-stała uszkodzona w przeddzień wojny, druga zestrzelona wczoraj na froncie, leżała między pierwszymi liniami naszej piechoty). Tym, któ-ry pierwszego dnia mieli harówkę w powie-trzu — dano odpoczynek. Mnie wezwano do dowódcy dywizjonu. W pięknym salonie pała-cu w Widzewie na stole leżały komplety map z siatką sektorów frontu łódzkiego. Co chwi-la z sąsiedniego pokoju telefonista głośno po-wtarzał równocześnie pisząc, fonogram które-goś z posterunków dozoruwania o nalocie nie-przyjacielskim. Nic tu nie zrobimy. Idą dale-ko od nas. Nie dopędzimy. Za chwilę znowu meldunek. Znowu i znowu. Mamy bronić o-kregu łódzkiego, latamy na zasadzki, patrolu-jemy front. Lecz gdybyśmy nawet szli poje-dynczo — jeden na całą wyprawę — byłoby nas za mało. Wypraw szło więcej”.

Czesław Głowczyński wspomina o „zasad-kach”. W celu uzyskania większej efektywno-sci w przechwytywaniu niemieckich wypraw bom-bowych rozmieszczono na ich trasie klucze myśliwskie w: Zdunskiej Woli, Woli Wężyko-wej i Łasku. Stosowanie zasadzek przyniosło wyniki, gdyż można było dzięki nim spotkać bombowce daleko przed celem, kiedy się te-go nie spodziewali. Operując z nich piloci dy-wizjonu zestrzelili 5 samolotów.

Zwycięstwa uzyskali: ppor. Tadeusz Koc ze-

strzelił Junkersa Ju 86, kpr. Zdzisław Urban-czyk — Henschela Hs 126, ppor. Jan Dzwonek i pchor. Edward Kramarski — Henschela Hs 126, plut. Franciszek Prętkiewicz — Heinkela He 45, por. Marian Trzebiński — Dorniera Do 17.

5.

Podstawowe działania były jednakże podej-mowane z lotniska Zdąry Wodne aż do dnia jego opuszczenia, do 6.09.1939 r.

1.09. — klucz alarmowy ppor. Mariana Trze-bińskiego zaatakował o godz. 5.00 bombowiec Heinkel He 111 uszkadzając go. Heinkel od-leciał w okolice Pabianic, gdzie go podobno dobiła artyleria przeciwlotnicza. Prócz tego przez cały dzień zwalczano samoloty rozpo-znawcze krążące się nad Łodzią i frontem, jednakże żadnego nie zestrzelono.

2.09. — samoloty odleciały na zasadzki. Pa-trolowano nad frontem dwoma kluczami. O-myłkowo, przez polskie oddziały zestrzelony został Jan Wiśniowski. Samolot rozbijł się na linii frontu, pilot wrócił wieczorem do dywi-zjonu. Tragicznym wydarzeniem była śmierć pchor. Piotra Ruszela. Zginął w bliżej nie wy-jaśnionych okolicznościach. Prawdopodobnie o-myłkowo zestrzeliła go polska artyleria prze-ciwlotnicza. Wieczorem odnaleziono jego zwło-ki i szczątki samolotu. Mniej więcej o godz. 16.00 zasygnalizowano dużą wyprawę bombo-wą kierującą się na Łódź. Wywiązała się wal-ka, w której wziął udział klucz alarmowy, a także klucz ppor. Tadeusza Koca wracający z zasadzki. Ppor. Tadeusz Koc strzelił do tego samolotu, strzelał też ppor. Czesław Głowczyń-ski. Samolot ten został zaliczony obu pilotom po połowie.

W walce tej wziął także udział ppor. Jan Dzwonek, który choć już uprzednio ranny nie chciał z niej zrezygnować. Maszyna ppor. Ja-na Dzwonka została zapalona a on sam mu-siał się ratować skacząc ze spadochronem. Zo-stał natychmiast ostrzelany przez jednego z Messerschmittów i dopiero interwencja kpr. Ja-na Malinowskiego, który zestrzelił pirata ura-towała mu życie. Piloci polscy w liczbie 7 walczyli przeciw 20 samolotom niemieckim ze-strzeliwując 2. Niestety zginął także i pchor. Edward Kramarski, a ze stanu dywizjonu u-były 3 samoloty P-11.

3.09. — ppor. Czesław Głowczyński atakując wyprawę zestrzelił Junkersa Ju 86. Od świtu czynne były dwie zasadzki: Wola Wężykowa i Orchów. Pozostałe zlikwidowano na skutek zmniejszenia się liczby samolotów i wykrycia lądowisk przez Niemców. Dwa klucze wysła-ne na „wymiatanie” nie napotkały wroga.

4.09. — Najtragiczniejszy dzień dywizjonu. Spowodował go niewątpliwie fakt wykrycia lotniska przez Niemców. Rano por. Zdzisław Zadroziński zestrzelił Dorniera Do 17. Po po-łudniu podobny samolot ukazał się w pobliżu i klucz alarmowy w składzie por. Tadeusz Jeziorowski i por. Zdzisław Zadroziński wyszedł natychmiast w powietrze, aby go spędzić z nieba. Okazało się jednak, że Dornier był przy-nętą. W słońcu kryło się 9 Messerschmittów Me-109, które niezwłocznie zaatakowały Pola-ków. W walce zginął por. Tadeusz Jeziorow-ski a Zdzisław Zadroziński ranny z trudem wyśladował na postrzelanym samolocie. W tym czasie przylecieli piloci z zasadzki. Widząc co się dzieje chcieli ponownie wystartować do walki, ale rozruch silników okazał się niemo-żliwy. Była to okoliczność fatalna, gdyż Mes-serschmitty z kolei przypuściły atak na samo lotnisko, ostrzeliwując samoloty, podpalając maskujące sterty zboża, raniąc obsługę. Znisz-czonych zostało 5 samolotów a trzy poważnie uszkodzone.

Jedynymi plusami tego dnia było zestrzele-nie przez OPL lotniska Heinkla-He 111 i przy-lot z Warszawy P-11 odesłanej 3.09. do re-montu.

5.09. — W dywizjonie pozostało jedynie 8 sprawnych maszyn. Uruchomiono zasadzkę Czarnocin. Po południu przyszedł rozkaz prze-lotu na lotnisko Drwalew koło Grójca. Lwow-scy piloci opuścili ziemię łódzką.

Niestety i w tym przypadku nie obyło się bez tragicznych wydarzeń. Wraz z rzutem ko-łowym pojechał lotnicy, którzy nie mieli ma-szyn. Pod Brzezinią karawane pojazdów za-atakowały Junkersy Ju 87. W wyniku nalotu (był to ranek 6 września) st. sierż. Zbigniew Brzeźniak i st. sierż. Tadeusz Andruszkow II zostali ranni, a śmierć poniósł st. sierż. Michał Krzyszkowski. Po raz drugi konwój był ata-kowany 8 km od Grójca. Glin ranni (pocho-wano ich w Grójcu) a ponadto rannych było kilku mechaników.

Piloci walczyli dalej w składzie Brygady Poślegowej aż do 19/20 września, w którym to dniu przekroczyli granicę rumuńską.

W sumie eskadry dywizjonu III/6 uzyskały:

161 — 6 zestrzelonych i 3 uszkodzone samo-loty wroga.

162 — 8 zestrzelonych.

Cena za te zwycięstwa było życie 6 żołnie-rzy. Charakterystyczne jest tu uzyskanie po-dobnych wyników walk przez 162 Eskadrę, która jak pamiętamy latała na bardzo prze-starzałych PZL P-7a. Fakt ten świadczy o wy-sokim poziomie wyszkolenia pilotów i sprawn-ości działania mechaników, bo przecież od nich w tej sytuacji zależało bardzo wiele.

Przekroczenie granicy Rzeczypospolitej i pój-scie na obczyznę stało się dla większości pilo-tów drogą do Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, w których prowadzili wal-kę do końca wojny i III Rzeczy. Część z nich wróciła do kraju (Cz. Głowczyński, T. Koc), a część została na emigracji. Wielu zginęło w walkach, a między innymi mjr. Stanisław Mo-rawski.

Upamiętnieniu ich bohaterstwa służy dziś ta-blica-pomnik odsłonięta w kwietniu 1986 roku w Zespole Szkół Rolniczych Widzew-Zdąry oraz nadanie zespołowi imienia mjr. pil. Wła-dysława Szczepińskiego — dowódcy 161 Es-kadry. W uroczystości wziął udział syn majo-ra — Piotr Szczepiński i seniorzy lotnictwa — uczestnicy walk wrześniowych.



Palac Hersego

Ślapi cały czas. Od rana. Jednostajnie i nudno. Bury mokry tuman pokrywa wszystko wokół Mokną smętnie budki kas, mokną podesty karuzel, zza szarej ściany deszczu ledwie mogą dostrzec ażurową konstrukcję górskiej kolejki. To już koniec sezonu Jesień. Może jeszcze, gdyby się wypogodziło, na sobotę i niedzielę, na kilka godzin, uruchomią choć parę urządzeń. Choć na razie patrzą w szare niebo i z powątpiewaniem kręcą głowami...

— Chyba nie z tego nie będzie, rzeczywistość fatalny to był sezon... — Jan Niewinowski poprawia kołnierz przemoczonego prochowca.

— Ma pan na myśli ten wypadek z lipca, na toboganie? — Jesteśmy właśnie w pobliżu nieszczęsnej zjeżdżalni. Rynna opłatająca konstrukcję wciąż szczyrzy w uśmiechu brakujący element, z którym runął na betonową podstawę 13-letni Tomek. Teraz, w ostatnich dniach października nie naprawiony, nie wyremontowany tobogan robi jeszcze bardziej przynębiające wrażenie...

— Wypadek? Nie, nie tylko. Zresztą do niego nie chciałbym wracać, to sprawa prokuratury i sądu. Był natomiast jakby sprężyna, która uruchomiła szereg wydarzeń, dla nas — agentów raczej niepomysłnych. Osobiście, obym był złym prorokiem, boję się zupełnego upadku lunaparku, to znaczy utrzymania jego działalności... — Jan Niewinowski zawiesza głos i przeciera powoli mokre od deszczu okulary.

— Rzeczywiście, styszałem, że to deficytowa zabawa. I powiem szczerze: nie bardzo takie stwierdzenia rozumiem, przecież na całym świecie...

— „Jest to wspaniały biznes? To pan chciał powiedzieć? Bo to prawda, a mówię to z całą odpowiedzialnością człowieka, który ponad trzydzieści dwa lata zajmuje się „karuzelnictwem”. To jest dochodowy interes! Ale nie dla ZPR, które swoją codzienną, wytężoną pracę dobitnie udowadniają, że tenże interes można spokojnie rozłożyć na obie łopatki...

— Zaraz, zaraz, to znaczy, że dla działających tu prywatnych właścicieli niektórych urządzeń impreza jest dochodowa, a dla sąsiada z placu, czyli łódzkiego oddziału ZPR — nie? Jakim cudem?

— Dokładnie tak właśnie jest: dla 14 agentów, właścicieli 22 imprez, bo tak się to w naszej nomenklaturze zwie, cała zabawa była i jest dochodowa. Urządzenia ZPR, bądź przez nich od miasta dzierżawione — przynoszą wciąż straty...

— Zaczniemy, panie Janie, jeszcze raz, od początku, jeśli można, byśmy wszyscy mieli jasny obraz przemian, jakim uległ łódzki lunapark.

— Był rok 1975, bodaj sierpień, gdy z honorami i należytą pompą ruszył na Zdrowie Lunapark, czyli kilkanaście imprez pozostawionych nam „w spadku” przez szwedzką firmę „Lindgrenbyggen i Klippan A. B.”. Winni byli ZPR bodaj 7 milionów złotych, które otrzymali na remont urządzeń, konserwację, urządzenie placu, więc dług spłacili karuzelami i kolejkami, które przywieźli z Majorki. Pozostałe — przekazali na Centrum Zdrowia Dziecka, ale miasto odkupiło te „zabawki” uważając, służące, że powinny już pozostać w Łodzi. Po chorowskiej, była to druga w kraju rozrywkowa stacja baza, pięknie usytuowana, ze wspaniałymi możliwościami rozwojowymi.

— Prywatni już też byli?

— Zaczęli się powoli zjeżdżać. Również i ja, łodzianin od wielu pokoleń, którego zawód zmuszał do cygańskiego życia. Ech, to temat na osobne opowiadanie: ponad dwadzieścia lat w „taborach”, w najodleglejszych zakątkach kraju. Byłem i w trasie w Żużelku Radzieckim, stałem ze swoimi karuzelami niecałe 800 kilometrów od chińskiej granicy, poznałem i wiedeńskie, i niemieckie lunaparki; kiedyś dawno miałem własnego sprzętu tyle, że zajmowałem 12 kolejowych wagonów...

Rozmąrzył się wyraźnie. Deszcz mżył monotonnie, a on wpatrywał się gdzieś nad nieruchomymi ramionami karuzel w dal, niczym w step niezmierny. Może przypłynął obraz wieczornych ognisk, skutecznych imprez, gdy po całym dniu „kręcenia” zasiadali do zakrapianych czasem koleczek, może usłyszał znów miarowy stukot kolejowych kół, które przenosiły jego rodzinę i karuzele w najbardziej odległe rejony ZSRR. Czekając, nie chciałem być intruzem w tym spotkaniu z czałem dawnych doznań i namiętności. Pomógł mi deszcz, pod którego kroplami mój rozmówca — w pewnym momencie wzdrygnął się lekko i — już twardszym nieco głosem — kontynuował swą opowieść:

— Stare dzieje... Dwóch synów już miałem, ze mną jeździł, zresztą starszy — Błażej, inżynier budowlany — pokochał ten zawód jak i ja. Jest tutaj, potem może pan i z nim pogawędzić.

— A kiedy pan tu stanął na stałe?

— W 1979 roku. Dyrektorował wówczas łódzkim ZPR Jerzy Płoszyński i on mnie namówił. Ściągnąłem część sprzętu na Zdrowie, część sprzedałem. Ustawiłem tu trzy małe karuzele i jedną piękną, dużą, tańczuchową...

— To ta, przepraszam, żardzewiała, którą miłaliśmy?

— Niech mnie pan nie obraża, młody człowieku! Do tej jeszcze wrócimy, to własność ZPR... Aha, kupiłem jeszcze wówczas pięć „melerów” no i z własnych środków zacząłem budować „zamek duchów”.

— To pańska „impreza”, ów zamek?

— Oczywiście, podejrzalem kiedyś taki w Wiedniu, no i zaprojektowałem podobny w Łodzi. Przez zimę udało mi się wszystko wykończyć i od początku sezonu 1980 roku moje „duchy” straszą. Rok później, po zakończeniu studiów rozpoczął tu pracę Błażej; odstąpiłem mu małe karuzele.

— Ile wówczas działało urządzeń, przepraszam — imprez na Zdrowie?

— Stało czy działało? Bo to dwie, zupełnie inne sprawy. Stało 15 należących do ZPR (część ich, a bodaj siedem dzierżawionych od miasta, przy czym do kasy miejskiej winno z tego tytułu wpływać rocznie 20 procent ich wartości) oraz 22 agentów. Nasze działały zwy-

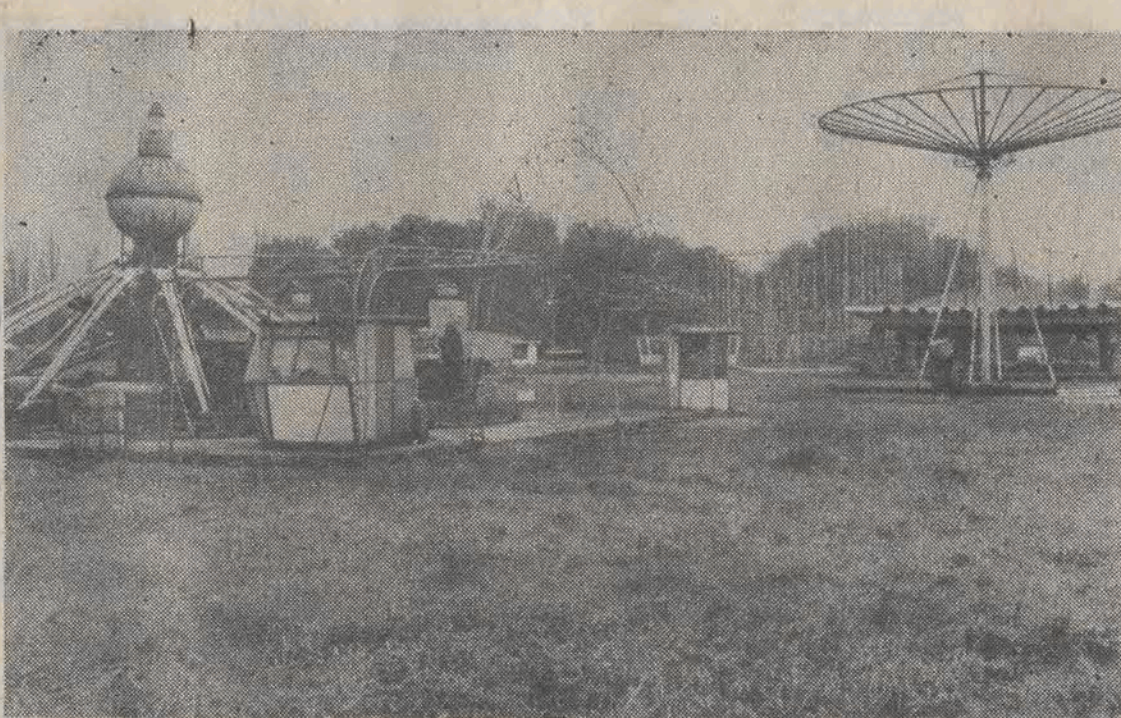


Foto: Grzegorz Galasiński

Czy w łódzkim Lunaparku będą bawiły się dzieci?

Karuzelom na pochybel?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

kie wszystkie, a ich — średnio siedem, czasem osiem...

— Ale dlaczego? Były uszkodzone? Nie cieszyły się wzięciem?

— No wie pan, tabliczki „remont” wisiały tu często gęsto. Ale dam panu dwa przykłady. Oto elektryczny karating — doskonała zabawa dla małych i dużych wielbicieli wyścigów na torze. Od dziesięciu lat praktycznie nie działa, niby ktoś próbował, brakowało jakichś części, wie pan — ogólna niemożność. Leży też w Wysokiej Dyrekcji moje podanie: chcę po kupie lub wydzierżawić i gwarantuję: będzie działać! Będzie bawić i przynosić dochód! Na razie — bez odpowiedzi.

— A ten drugi przykład?

— Drugi z wielu. Oto duża karuzeła tańczuchowa, ta, która tak się panu „podała”. Też stoi chyba z dziesięć lat bezczynnie. Czemu? Wykonana jest tak sprytnie, że ludzie bali się nią jeździć, takie miała odchylenia w pionie, że nawet widzowie uciekali! Chciał ją kolega, też prywatnie przerobić, poprawić, niech zarabia na siebie. Bez odpowiedzi. Przykłady można by mnożyć. Hiszpański młyn, unikat na skalę krajową, jakby dwie karuzele nałożone jedna na drugą — od kilku lat nie pracuje. Po co, przecież „prywatni” na nas zarobią!

— Dużo płacicie ZPR?

— Jest tego parę pozycji. Przede wszystkim ryczałt od obrotów. Jest to 22 procent, stała stawka i przy moich „duchach” zasilał konto ZPR 82 tysiącami złotych miesięcznie. Oprócz tego kilka tysięcy za dzierżawiony teren i 2,4 procenta od obrotów na wydatki związane z utrzymaniem placu. To są znaczne kwoty. Jeśli generalnie wszystkie agencje mają obrót średnio około 10 milionów złotych, to do kasy ZPR idzie 2,2 miliona plus kilkadziesiąt tysięcy z tytułu „utrzymania” placu. Ale na co te pieniądze są przeznaczane — to już panu nie powiem. Na pewno nie na konserwację urządzeń i naprawy — przecież widział pan w jakim są stanie...

— To wszystkie pańskie zawodowe wydatki?

— O nie, niezależnie od wymienionych płatności jeszcze ZUS, za energię elektryczną, podatki od wynagrodzeń, a także (2 procent od rocznego wrotu) na fundusz rozwoju kultury...

— Płacicie, naprawiacie własne urządzenia, remontujecie je, utrzymujecie rodziny. Udowadniać tym samym, że cała zabawa może, ba — musi być rentowna?

— Oczywiście! To są proste reguły gry: jeśli mam dwa urządzenia i jedno zamek, to drugie na mnie nie zarobi. Ale jeśli mam ich 15 i połowę zamkna, a ludzi z ekipy technicznej i administracji zatrudniam w nie zmienionej liczbie — to muszę być „na deficycie”. To cała tajemnica.

Zatrzymaliśmy się właśnie przed górską kolejką, gdy dogonił nas brodaty młodzieniec, równie jak my przemoczony. Przywitał się, zamienili szepem kilka zdań z panem Janem. Już wiedziałem — to Błażej Niewinowski. Szybko też włączył się do naszej rozmowy, w sposób tyleż beceremonialny co zaskakujący.

— Niebezpieczna się wydaje, prawda? A to urządzenie, wyprodukowane przez renomowaną włoską firmę Sartori, przy przepisowej eksploatacji jest jednym z bezpieczniejszych, jakie można spotkać w lunaparkach.

— Ale zdarzyć się może przecież, że ktoś wypadnie...

— Tylko samobójca, jeśli na przykład na zakręcie wstanie i pasy odepnie. Jeśli prze-

strzeże się przepisów dotyczących tak konserwacji, przeglądów jak i codziennej eksploatacji — to jest to bezpieczna zabawa. Ciekawostką ze swoistym smakiem może być dla pana wiadomość, że kolejka nie miała atestu dopuszczającego ją w tym roku do pracy...

— Zaraz, zaraz to przecież poważna sprawa! Wiem, że decyzją z 30 maja 1987 r. specjalna komisja ZPR dopuściła do ruchu, czyli eksploatacji wszystkie urządzenia lunaparku...

— Oczywiście: nasze, oraz własne — czyli ZPR też, włącznie z nieszczęsnym toboganiem. Ale sam pan potem cytował w gazecie, „bo mamy, te wycinki, że zjeżdżalnia była w stanie „bardzo dobrym”, a estetyka też bez upag. A przecież widział pan to „estetyczne” urządzenie na własne oczy...

— No dobrze, ale wytłumaczcie mi sprawę tych atestów!

— Poczekać, Błażej, zaczniemy jeszcze raz... — ojciec Niewinowski ma więcej cierpliwości, z niejednego pieca chleb jadł i wie, że czasem lepiej dwa razy sprawę z pozoru prostą wyłuszczyć. Więc brnie pracowicie:

— Każdy z agentów, by uzyskać zezwolenie na działalność, musi — przede wszystkim — posiadać: dokumentację techniczno-ruchową urządzenia oraz aktualną kartę sprawności technicznej czyli atest. Inne zaświadczenia, jak choćby o stażu pracy czy kursie bhp dziś nas mniej interesują. Po wypadku lunapark, jak wiadomo, był przez ponad miesiąc zamknięty, a specjalna komisja powołana przez łódzki oddział ZPR, w składzie której znalazł się między innymi biegły — rzeczoznawca NOT kontrolowała stan naszych urządzeń i posiadane dokumenty.

— To wiem. I w efekcie zezwolenia na dalszą działalność otrzymało?

— 21 imprez. Na ostatnią, ścianę emocji nie było fachowca — budowlanca, dlatego musiały czekać. Natomiast z pracujących przed nieszczęśliwym wypadkiem dziewięciu urządzeń należących do ZPR zezwolenia dostały — cztery. A i to całe szczęście, że komisie działały aż miesiąc...

— Szczęście?

— Owszem, bo na te cztery złożyli w tym czasie kompletować dokumenty, ściągając nawet specjalistów z zakładów w Szydłowcu, produkujących urządzenia typu lunaparkowego. Więcej przez miesiąc nie zdążyli stworzyć dokumentacji i dlatego zezwolenia dostały tylko: „skuternia”, kolejka Santa Fe dla dzieci, karuzeła manieżowa Bebi i „Parasolki” B.

— To bardzo poważny zarzut...

— Ale prawdziwy. Bodaj 10 sierpnia 1987 r. po tym wypadku zjawił się na placu wojewódzki inspektor bhp, pan Banach i sprawdził wszystkie dokumentacje. On też stwierdził, że urządzenia ZPR nie miały dokumentacji. To na pewno jest gdzieś odnotowane, ta jego wizyta. A już następnego dnia pojawili się na placu inżynierowie z Szydłowca. Obserwowałem ich wszystkich, zastępcę kierownika lunaparku poinformował nas, że „w tych dniach” mają zjawić się przedstawiciele komisji, która dokona odbioru naszych urządzeń. Czekaliśmy, terminy zmieniały się kilkakrotnie, siedzieliśmy zli jak osy, bo nie zarabialiśmy, ludzi trzymaliśmy, by w każdej chwili ściągnąć piasek do prób z balastem.

— Do karuzel?

— Między innymi. Takie urządzenie trzeba obłożyć trzema tonami piachu w workach. W podobny sposób obciąża się wózki w moim „zamku duchów”. Obserwowałem więc tych

„rysowników”, a także montaż nowej dziecięcej karuzeli...

— Czyli całkowitego zastój w interesie nie było?

— Ale niech pan słucha cierpliwie. Karuzela niewielka, konikowa, wyprodukowana w tymże Szydłowcu, sama konstrukcja wartości — bagatela 1600 tysięcy złotych. A przede wszystkim — źle zaprojektowana, niebezpieczna.

— Jak pan się zorientował panie Janie, że ona jest „niebezpieczna”? Było tak w rzeczywistości?

— Skąd? Bo ich dziesiątki sam budowałem, naprawiałem, użytkowałem. Znam ich zasady działania, słabe i mocne strony, wiem też jakie czasem mogą przydarzyć się historie. Błąd konstrukcyjny tej wspomnianej polegał na tym, że niezabezpieczenie wrotojacej podłogi mogło w razie upadku dziecka skończyć się wciągnięciem malucha pod tę obrotową część karuzeli. Klóciłem się z nimi długo, straszyłem różnymi interwencjami — no i założyli dodatkowy płatek uniemożliwiający wypadnięcie dziecka w pobliże ruchomych części urządzenia. Nawiasem mówiąc — ta karuzela już nie działa...

— ???

— To śmiechu warte, choć może raczej ktoś płakać powinien: nie pracuje, bo została tak zaprojektowana, iż z głównego łożyska wióry lecą.

Do naszej spacerującej trójki podszły dwie panie osłaniające twarze parasolkami. Poszeptaly tajemniczo z seniorem Niewinowskim, który — zauważyłem — wzruszył kilkakrotnie ramionami powtarzając: „No to poczekamy...”.

Prosił też kobiety, by zatelefonowały do jakiegoś urzędu. Po chwili przez równo siapiący kapusniaczek ruszyliśmy w dalszy obchód. Błażej wspominał jeszcze nieszczęsne lato.

— Przecież to dla nas jedyne źródło utrzymania. Oni pensje za sierpień wzięli, ja przez prawie pięć tygodni „nie grałem”, nie zarabiałem, ale pracownikom musiałem zapłacić, za plac też...

— Rozumiem, że chcecie uratować lunapark, przywrócić mu dawny blask, a nawet, jak twierdzicie, rozbudować. To zadam wam przewrotne nieco pytanie: byłibyscie w stanie uruchomić urządzenia, które latami rdzewieją bezczynnie?

— Oczywiście. Na pewno nie udało się tego dokonać w kilka tygodni, ale ręczę, że gdybyśmy mieli parę zimowych miesięcy na przeprowadzenie niezbędnych napraw — z początkiem sezonu kręciłoby się.

— I dalibyscie radę, mimo braku wielu części, mimo tej „ogólnej niemożności”?

— Dalibysmy, jak to mówią „tymi rękoma”.

— Chwilczkę, przecież łódzki oddział ZPR ma tu na miejscu specjalną ekipę techniczną. Wiem, że tożyska nie wyprodukują, ale dbałość o estetykę urządzeń to chyba niezbyt trudne zadanie?

— No cóż, jest to ekipa kilkunastoosobowa, ale ich robota na miejscu nie interesuje, oni traktują lunapark jako „poczekalnię”.

— I na co niby oczekują?

— Nie wie pan? Za graniczny wyjazd, do pracy w cyrku lub lunaparku, ale za markę, dolary, korony. Rocznie z ZPR wyjeżdża około 50 osób: najlepsze „fuchy” to oczywiście. RFN, Szwecja, Austria, trafiają się i Stany Zjednoczone i Szwajcaria. A pan chce żeby ludzie z taką perspektywą brali się za malowanie toboganów?

— Wiem, że zaprosiliście dziś dyrektora łódzkiego oddziału ZPR na spotkanie. Mają być również obecni przedstawiciele PRON, Urzędu Miasta, instancji partyjnej. Czy oprócz wylania, jak i mnie „gorzkich żalów” jesteście w stanie zaproponować rozwiązania, które satysfakcjonowałyby wszystkich — miasto, was, no i małych użytkowników lunaparku?

— Tak i wydaje się ono jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Wróćmy do czasów, gdy działalność lunaparkową prowadziły spółdzielnie. Istniało wiele takich spółdzielni w kraju, ale zostały zlikwidowane całkowicie w roku 1975, od kiedy ZPR stały się monopolistą w kierowaniu naszą działalnością. Działamy wszak w imieniu ZPR i na ich rzecz.

— Chcielibyscie powołać spółdzielnię?

— Oczywiście! Jest to najprostszy sposób, by wszystkie urządzenia zaczęły na siebie — i nie tylko — zarabzać, by znów tętniło tu życie, przyjeżdżali wycieczki z całego kraju, a każdy łodzianin mógł przyjeżdżać do nas wiedząc, że dzieciaki spędzą w lunaparku kilka godzin na wspaniałej zabawie. By było i bezpiecznie, i wesoło, i kolorowo. Nie ukrywamy — także i dochodowo... Pozytywna decyzja w tej sprawie zależy od prezydenta...

— Czego wam serdecznie życzę.

Pozegnaliśmy się i obaj Niewinowscy ruszyli w kierunku biurowego baraczku, przed którym zebrała się już spora grupa podenerwowanych agentów. Szara ściana deszczu zacierała kontury dalekich stojących urządzeń, ocierała też deszcz z nosów dwaj „zawodnicy”, może dziesięcioletni, którzy przez przed zamkniętą bramy ciekawie zaglądali do środka.

— Nie wie pan czy będzie czynne? — wychrypiął blondynek.

— Dział na pewno nie, przecież leje, może w niedzielę...

— Szkoda, matemy nie było, chociaż na duchy byśmy poszli...

Chyba dopiero w przyszłym roku. Oby...

Pan Heniek, najbardziej życzliwy i uprzejmy wózek pośród kierowców samochodów służbowych, wjechał w podziemia gmachu w pobliżu al. Mickiewicza i manewrując niby rajdowcem pomiędzy filarami ustawił wóz przy rampie. Sceneria przypominała podziemny garaż z amerykańskimi filmami o gangsterach, lecz nikt nie strzelał, choć sprawa była polityczna. Pani Zdzisława Trojanowska z WK ZSL oraz pani Grażyna Pokojowy, kierownik Rejonowego Ośrodka Działania, spuścili windę na rampę paczki z książkami i sympatyczną panią blond księgarz. Operacja się udała. Kiermasz z udziałem łódzkiego Domu Książki stanowił ważny element w inauguracji szkolenia politycznego ZSL na szczelbu rejonu.

No i pojechaliśmy, pomagając wieszczowi w realizacji zamysłu, iżby księgi zbłądziły pod strzechy. Dosiadając rzecz biorąc jest to niemożliwe, albowiem pewien nowoczesny promient, z czasów gdy Łódź było prawdziwym województwem, wyteplł wszystkie strzechy, propagując stropodachy. Na szczęście chłopcy zaczynają ostatnio budować domy z dachami spadowymi, więc trochę tej wsi widać pod Łodzią.

W Brójcach była zabawa

Inauguracja

RYSZARD BINKOWSKI

W Brójcach oczekiwał nas gospodarz całej imprezy, Henryk Skrzyński, sekretarz GK ZSL. Krótko przystrzyżony, o chłopięcej twarzy i spojrzeniu człowieka doświadzonego, który wie, czego chce. Ma już przystojną żonę.

Włoski reporter nie wdając się w pogawędki ruszył na rekonesans. Zanurzywszy się w plenerach stwierdził, że nad Brójcami świeci jeszcze prawdziwe październikowe słońce, powiewa ciepły wiatr, snuje się nie babie lata i z topól opadają liście, które wywozi taczka na zaplecze rzetelny gminny sanitariusz. A w ogóle jeśli chce się znaleźć wzorowe gminne centrum, to tylko w Brójcach. Z jednej strony asfaltowej drogi kłosek „Ruchu”, z drugiej zaś przystanek PKS, gdzie reklamują się na tablicach fotografowie z Woli Rakowej i Kurowic oraz mistrz od przewijania silników, Rozkład jazdy jest mniej czytelny, ponieważ wisi pod dachem wiaty, żeby go chłopcy nie przekuli na lemie-sze.

Ustaliłem z całą pewnością, że obiecany autobus miejski zmieni już trasę omiata Brójce i zabiera o Pałczew, jak się domagali mieszkańcy.

Z przystanku PKS widać całe centrum. Na pierwszym planie dwa modrzewie, topola z resztką wstążek na pniju, pewnie po dożynkach, ciągnik i liczne samochody. Na lewo ładny pawilon z dwoma sklepami, spożywczym i przemysłowym. Na prawo okazała re-miza OSP i przystawiony do niej, lecz nie mniej okazały, budynek Gminnego Ośrodka Kultury. A pośrodku długi, piętrowy, estetycznie pomalowany i otoczony zewsząd pięknymi utrzymanymi kwiatami gmach, w którym mieszczą się: Urząd Gminy, siedziby partii i organizacji politycznych, biblioteka, poczta, Ośrodek Zdrowia. Na zaplecze zabrakło funduszy, toteż przy-bytok ludzkich potrzeb znajduje się w tzw. stanie surowym. W niewielkim betonowym korytku dla panów leżało uwięte ze słomy gniazdo, w którym zapewne nosiły się okoliczne kury. Przybytek świadczy jednak usługi, albowiem z za drzwí dobiegają dźwięki przypominające zmagania człowieka z własnym jestestwem.

Naczelnika gminy tego dnia nie widziałem. Za to od rana widoczne były kobiety z Brójec i okolicy, które przygotowały do wszystkiego, co tylko kobieta na wsi zdolna jest wyzyskać. Pracowały pod przewodem opiekunki Kół Gospodyń Wiejskich. Janiny Gniazdowskiej, i szefowej miejskiego KGW, Danuty Szwed.

Podczas mojego rekonesansu pojawili się dwaj dziennikarze, Jan Olszewski z „Zielonego Sztandaru” i red. Łuczak z „Dziennika Ludowego”, ponieważ inauguracja szkolenia politycznego wiązała się z obchodami dni prasy ludowej. Dzięki Bogu, że ja tego nie świętowałem, bo tamtych co rusz wywoływano do tablicy, a Olszewskiego to nawet posadzono za stołem. I tak on opowiedział o wydawnictwach ZSL i o tym, jak dziennikarze cenią sobie szczerść i lubią pisać o tym, czym żyje wieś, to potem jedni dziękowali prasie za pomoc, a drudzy twierdzili, że prasa kłamie i bywa służalcza, ale nie w stosunku do chłopów.

Obejrzałem miejsce inauguracji. Sala przyjemna, z barwnymi jupiterami, festonami na lampach wiszących i z dorodnym fikusem. Nad wnetrzą napis: „Dziś Disco”, a na tylnym ścianie rodzina kolorowych krasnali przed chatką. Zanim to odnotowałem, pan Heniek przywołał docenta doktora habilitowanego Konrada Galuszko, który miał uświadomić ludowców ze wsi, co im grozi ze strony cywilizacji.

Około czternastej byli już prawie wszyscy, łącznie z prezesem WK ZSL, Jerzym Chojnackim. Na kiermaszu mimo wysokich cen był znaczny ruch w interesie, bo i wybór boga-

toń oraz spalając węgiel, a każdy komin zagraża środowisku. Ponadto wieś nie powinna używać dezodorantów, które są cięższe od powietrza i niszczą ochronną warstwę ozonu nad Ziemią. Wiś śmieci, co także jest zagrożeniem, i trzeba z tym skończyć.

Moim zdaniem te śmieci najczęściej podzucają do wsi samochody z łódzkich fabryk, ale żeby nie było wzajemnych obwinień, gmina Brójce uzyskała dla przykładu wzorcowe wysypisko śmieci w Pałczewie. Na zakończenie docent pocieszył zebranych, że nie jesteśmy uprzedmiotowieni w tym stopniu, co Europa Zachodnia, więc nie jest aż tak groźne, tyle że wiatry zachodnie zatrzymują nas kapitalistyczna zgnilizna. Trudno temu zapobiec, a ponieważ znajdujemy się w trudnych warunkach ekonomicznych, więc do działania na rzecz ochrony środowiska musi nas zdomingować instynkt samozachowawczy czyli strach.

Natenczas do stanowiska „Dziś Disco” podłączył się technik z lampą na długiej tyczce i zaczęło się kamerowanie. Rolnicy byli tak tym wszystkim wstrząśnięci, że zaczęli tytułować docenta profesorem i prosić, aby coś zrobił, żeby nie zatruć całkiem Brójce, bo to najlepsza rolnicza gmina w województwie. A jak tu zaczęto utwardzać drogi pyłem dyminowym, to krowy mają poronienia i przestają być cienne. Teraz znowu ogrodnicy płacą za kominy, nie wiadomo, czy to kara, czy podatek, czy na fundusz ochrony środowiska. A jak każdy komin groźny, to wkrótce wszystkie wsie będą płacić, nie tylko ogrodnicy. A małych filtrów brak. No i to wysypisko... Najpierw niewielkie, a teraz doszło ze strefą ochronną do 173 ha. Trzeba będzie wysiedlać i wywłaszczać dziesiątki ludzi. Głosu wsi się nie słucha, prasa ani lektor NK ZSL nie zdecydował o lokalizacji wysypiska, więc napisali do marszałka Sejmu, Romana Malinowskiego...

Podczas wymiany zdań mignęła mi w tłumie znajoma twarz. Człowiek był, tak zaferowany, że mnie nie dostrzegł, więc go nie zaczepiałem. Z uwłoszenia nawet do mnie podobny, tyle że był blondyn i bez brody. Wyszedłem z nim na ganek i zobaczyłem pojazd podobny do o-sinobusa, pełen kolorowych strojów ludowych. Zrobiło mi się rażniej i lżej na sercu. Przyjechali „Rzgowianie”.

Tymczasem w sali nieustępliwy w walce o czystość środowiska pan Gondzio argumentował, że bez konsultacji z chłopami, zdecydowano o lokalizacji wysypiska. I nie chodzi już o to, że przeprowadzono badania ekonomiczne i że przy ciągłym ruchu ciężkich śmieciarek od wibracji mogą się zawałić cha-lupy. Rzecz w tym, że nie było ekspertyzy kompleksowej, a tu jakieś 250 m od śmietniska zaczyna się źródło Wólki. I jeśli ktoś z za biurki cieszy się z tego powodu, że Wólka wpada do Pilicy poniżej spiętrzenia wód, z których korzysta Łódź, a dalej to można zatruwać, bo to już nie nasze środowisko, to nie jest to po polsku ani po obywatelsku.

W hallu nastąpiło coś w rodzaju happeningu. Otoczony tłumem szaszkowanej publiczności, oślepiony blaskiem jupitera na tyczce, prezes Jerzy Chojnacki odpiął dzielną ataki Anki Orzechowskiej, która zadawała mu kłopotliwe pytania. Z drugiej strony uśmiechała się do mnie znajoma twarz, i zaraz potem wpadłem w braterskie uściski, ponieważ znajoma twarz należała do Wojtka Kacperskiego, z którym solidarnie przebiegnie podstawówkę w Rzgowie. Przed dwoma laty Wojtek, z zawodu rzemieślnik, wbrew opinii społecznej i wszelkim przeciwnościom założył duży zespół folklorystyczny. Jest to w życiu Rzgowa zjawisko tak niezwykle, iż wymaga obszernego potraktowania w repratazu.

Następnie głos zabrał prezes Chojnacki, który oświadczył, że partia chłopiecka ma bronić chłopów we wszystkich sprawach, a szkolenia są m. in. po to, aby się uczyć, jak zmieniać mentalność ludzi w urzędach, które nieraz zamiast pomóc, utrudniają chłopom życie. Wysypisko, rzecz jasna, musi gdzieś być, ale prezes też widział te pulsujące źródła w Pałczewie, szkoda więc niszczyć przyrodę i marnować wodę pitną. Tym bardziej, że ochrona środowiska to także sprawa żywności, której wciąż

mamy za mało. Jeżeli do Pałczewa, mówili prezes, będzie się przywozić 5 tys. ton śmieci dziennie, to te kratery po zwirowni w rok się zasypie. Z Łodzi do Bełchatowa jest o 20 km dalej niż do Pałczewa, koszt transportu byłby więc wyższy, ale za to miejsca na śmieci starczyłoby na co najmniej sto lat, tę dziurę będzie się tam kopać przez pół wieku, bo tyle jest węgla.

Pośród oklasków zebrani skierowali się do prawego skrzydła na degustację. Powiedziałem Telewizji, że Wojtek Kacperski, z którym chodziłem do szkoły, jest właśnie kierownikiem zespołu „Rzgowianie”. Anka Orzechowska obrzuciła nas krytycznym okiem prezenterki i oznajmiła, że ja wyglądam starzej. Ze wzruszenia zaplałam się z nią w kablach. Ania szepnęła mi do ucha z pieszczotliwą obłudą że to nieprawda, ale ona miała to w scenariuszu, po czym rzuciła się do stołów, gdzie chłopcy robili jej kamerowe przebitki z samych kanapek. — Jezus Maria — wrzasnęła — nie samo żarcie, jedzących też!

Nad stołami unosił się dyskretnie zapach jarzyny, lecz ja się z nim nie zderzyłem. Kanapki były bogato przekładane tym, co zrodziła natura na wsi, z wyjątkiem odrobiny śledzika z puszk. Natomiast wszystkie pyszne, pachnące ciasta pochodziły z domowego wypieku.

Tutaj jeszcze degustacja, a w sali słychać już Borynowe wesele! To rzgowska kapela uderza w instrumenty. Kapelusze, kontusze, śpiewający klarnet i z werwą dudniący bęben, tańce i śpiewy!

Sekretarz Skrzyński częstuje mnie prawdziwą wiejską kiełbasą. Innych wyrobów domowej produkcji nie skosztowałem, ponieważ bełchatowski lej depresyjny sięga już Bronisina, gdzie wysychają studnie, bliżej zaś woda zalutuje czymś, co docent Galuszko nazywa skażeniem, i w Pałczewie już nie pędzą.

A w sali sama młodość, bo większość zespołu „Rzgowianie” jeszcze w podstawówce. Stroje, tańce, przyspiewki w stylu mazowieckim. Dudni podłoga, świsty, gwizdy, pokiwanie, okrzyki radości wyrwywające się z młodych piersi. Łza się w oku kręci... Zatrzymane to, co przemija... I nie są to chrapliwe, ponure wrzaski z rockowego rykownika...

Za oknami już noc, a ja stoję, słucham i myślę, że WK ZSL w Łodzi jest na dobrej drodze, aby odejść raz na zawsze od łopatologii, drętwości, pustostów i zdemokratyzować w pełni życie polityczne w swoich szeregach. Ludzie nie cierpią suchego werbalizmu. Uczą się jednak chętnie wówczas, gdy interesuje ich temat wykładu i gdy mogą przy okazji połączyć przyjemne z pożytecznym.

A na estradzie barwne krowody i występy solistów. Teraz już czapki z piórami i stroje krakowskie, no i „Płynię Wisła, płynię”, a potem jeszcze cały bogaty program z galkiem, aż się w oczach mieni i nogi same podrywają do tańca.

Tak się tym wzruszyłem, że pojechałem z artystami do swoich, czyli do Rzgowa. Ale żaden rzgowski milicjant nie odprawił mnie z honorami i gospody prosto do wytrzeźwiałni. Nie dlatego, że zmienił tam komendanta, ani że MO nie wkroczył na teren przykościelny, gdzie mieści się przystanek autobusowy. Ten pełen wrażeń autobus sprawił, iż w głowie miałem pełno muzyki. I jadąc miejskim autobusem linii 266 do miejsca zameldowania na pobyt stały, gdzie czekała na mnie wierna Penelopa bez ukrytych pod szlafrokiem narzędzi tortur, myślałem, że może nie będzie jeszcze tak źle. Zespół „Rzgowianie” swoją tkwiącą w tradycji świeżością i młodością jakby rozwałił nieco obraz tego, co nas czeka. W Brójcach mówiono o degradacji środowiska, o ginącej wodzie, chorobach, zamierającej roślinności, a ci młodzi ze Rzgowa znaleźli na to antidotum, znaleźli swój sposób na życie. Jakby na przekór wszelkiemu złu i na pocieszenie w ich muzyce, tańcu i śpiewie szumia jeszcze wierzyba, płynię woda źródłana, falują lany zbóż i pachnie łąka...



Foto: Grzegorz Galasiński



Bracie mój
spójrz na naszą planetę i wyrwij na niej bruzdy
rzuć ziarno w ziemię jak w źródło
twórz jak Bóg kiedy ziemię obsiewał
dwoje rąk może być dla niej
kolyską i grzebalnym stosem
Spójrz na młyn
To prarodzic muzyki —
psalm
z wody i kamienia
Śpiewając — ma
naturalny kontrpunkt — sam
umieie ziarno i będzie
nagrodą za wszystko
Lubię poczę jak chleb
którego ciężar czuję w ręku
Chcę aby rzeźbiąc plugiem
ziemię
zanurzoną w słońce i deszcz
oracz
wpisał do księgi świata
słowo które
skowronek przeczyta
i natchniony do lotu
zaśpiewa radosnym fletem
Wyrwijmy na ziemi magiczne przykazanie
Milość
A ziemia odda się nam i zrodzi szczęście

Maksym Tank



Żeby chleb jak słońce światło miał,
By jak światło stała był potrzeba,
Żeby serca grzał i w żyłach grał,
Mnie wesół grzmot w przestworach nieba.

Tam gdzie chłodu nawiał siny wiatr
I przeciągły szum po łożach niesie,
Gdzie pod kłosem liść przy liściu padł,
Wciąż dziewczyny w garść zbierają jesień.

Kolor spódnicy, żywy kolor chust,
Taki psrty, jaskrawy do przesady
Niespodzianie zrywa zachwyt z ust
W chłodnym tym szaleństwie listopada.

Przełożył: WASYL KOCZNOW

Iwan Kaszpurow

Brzózka

Z przepaściści dali Rosji,
gdzie zawieja zła, styczniowa,
jej kolezki szczerzeliwie
przywleźli do Stawropola.

Aby wraz z topolą, kłosem
już na wieki, nierozłączna,
pośród pól, wśród pól zielonych
wypuszczała swoje kłace.

Aby tutaj, gdzie wiatr wschodni
ziemię żagwi, ziemię pali,
brzózka chłodu nam nawiała
z przepaściści Rosji dali.

Przełożyła:
DOROTA CHRÓSCIELEWSKA

Wasilij Cwietkow



Lubię jesień przebogatej
Pejzaż, gdy złoci się, purpurzy
I płynie nie babiego lata,
A niebo kwitnie wprost od burzy —

Nie przez to, że bogactwa ziemi
Dają o sobie znać tak hojnie
I pokąd świt się nie zrumieni,
Na tokowiskach błyszczą ognie —

Nie przez to, że daninę miodu
Sady przynoszą nam spódnice,
Że sznur wesółych korowodów
Po zbiorach nam podbija serce...

Chrześci już łodek pod butami,
W mgłę zakutała się wierzba...
Wtedy pysznymi pierogami
Zapachnie moja wieś rodzinna.

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Szwedzcy akademicy, członkowie komi-
tetu literackiej Nagrody Nobla wciąż
dłają o to, aby ich decyzję pod ko-
niec października każdego roku stano-
wiły agencja sensacja. Często ma się
wrażenie, że jurorzy Nagrody jakby
dla podtrzymania uwagi literackiego świata dla
swoich wyroków działają według zasady: im na-
zwisko laureata bardziej nieoczekiwane i zaska-
kujące, tym głośniejsze dyskusje, spory i ko-
mentarze. Zatem tym lepiej dla Idei Nagrody,
która od wielu, wielu lat uznawana jest coraz
powszechniej za anachronizm i irracjonalnych
kryteriów. Nie wiadomo bowiem, czy owa Na-
groda ma mieć charakter wieńca laurowego dla
najwybitniejszych (też absurd), czy promocyjnego
stypendium dla autora, którego wedle opinii kilku

chozła, i tak powstaje „sprawa Brodskiego” zna-
na także prasie zachodniej. Tam też poeta dru-
kuje swoje wiersze, tam pojawiają się pierwsze
przekłady obcojęzyczne rosyjskich utworów Brod-
skiego. Zwolniony po dwóch latach nie zapre-
staje prac literackich, aby w roku 1972 na sku-
tek wielu uwikłań rozpocząć żywot emigranta
w Stanach Zjednoczonych. Obecnie pracuje na
jednym z uniwersytetów amerykańskich, pisze
wiersze i tłumaczy. Związany z ośrodkami emi-
gracji rosyjskiej i innych krajów Europy Wschod-
niej (m.in. uczestniczy w kolegium czasopisma
„Kontinent”), jest autorem kilku tomów (m.in.
„Ostanowka w pustyni”, „Koniec piękniejszej
epoki”, „Czaszki rzezi”), tłumaczonych w wielu
krajach.

Nielatwo jest pisać o twórczości poetyckiej

NOBEL '87 w dziedzinie literatury

panów, trzeba by oto światu pokazać. A ponieważ
literatura funkcjonuje obecnie na dalszych pla-
nach — jak zdają się myśleć szwedzcy
testatorzy Nobla — przydać jej od czasu do
czasu politycznego pieprzu. Niechaj między wi-
adomościami o krachu na giełdach, o konflikcie
w Zatoce Perskiej, o moskiewskim wizycie Shultz
znajdzie się miejsce w newsach o komunikacie
ze Sztokholmu.

Po prawdzie nie ma o co kruszyć kopii. Nagro-
da nobla, a literatura kreuje swoje wartości
i tak poza hierarchiami ustalonymi w zaciszu ga-
binetu Szwedzkiej Akademii. Podając teraz na-
zisko tegorocznego laureata mogłoby na tym
tekst ten zakończyć. Byłoby to jednak demago-
giczny wykręt tym bardziej, że owo nazwisko
dla znakomitej większości czytającej publiczności
brzmii pusto.

Literacką Nagrodą Nobla w roku 1987 został
uhonorowany Josif Brodski, emigrant rosyjski
mieszkający obecnie w Stanach Zjednoczonych.
Urodził się w roku 1940 (notabene jest to jeden
z najmłodszych, jeśli nie najmłodszy ze wszystkich
dotychczasowych laureatów — co zastanawiaja-
ce, bo najczęściej jurorzy zauważają pisarzy
wiekowych) w Leningradzie. Szkołę porzucił
w wieku lat 15 i zarabiał na życie pracą dorywczą
jako robotnik fizyczny kształcąc się samodzielnie.
Jego wczesne wiersze i przekłady zdobywają uz-
nanie środowiska literackiego. (Brodski tłu-
maczył między innymi utwory angielskich poetów
metafizycznych, autorów hiszpańskich i współ-
czesną lirykę polską). Z drugiej strony — by
tak rzec — nieuregulowany tryb życia, który nie
daje się przypisać obowiązującym konwencjom
społecznym wywołuje krytyki, w następstwie któ-
rych Josif Brodski zostaje skazany za „pasożyt-
nictwo” na pięć lat przymusowej pracy w sow-

Brodskiego. A to z wielu powodów. Zna-
ne mi nieliczne przekłady na język polski (tłumaczyli
Brodskiego Andrzej Drawicz, Seweryn Pollak,
Eugenia Siemaskiewicz, Wiktor Worosylski, Sta-
nislav Barančak i in.) nie zezwalają na jakie-
kolwiek syntezę i uogólnienia. Tym bardziej, iż
poetę ta sięga korzeniami nie tyle do tradycji
rodzimej literatury rosyjskiej — (komentarzy
najrozsądniej przywołują tu tylko dwa nazwiska
— Mandelsztam i Zabolockiego), co do przeszło-
ści ogólnoeuropejskiej („pojęty uczeń siedemna-
stowiecznych poetów metafizycznych” — piszą kry-
tycy), w której Brodski szuka inspiracji.

„Jest mistyka. Jest wiara. I jest Pan nasz.
Wszystko to razem rzecz różna. I jedna.
Dla jednych otchłań, dla innych hołanna.
Niewiara ślepa jest. A częściej wróżnia.

Bóg w dół spogląda. Ludzie w górę. Słowem,
patrz na życie nie z tej samej strony,
Bóg organiczny jest. Właśnie. A człowiek?
A człowiek — można rzec — ograniczony”

(„Dwie godziny w rezerwarze”)

Jest jego twórczość także wartością samoistną,
własną i indywidualną o akcentach wynikających
z biografii i dramatycznych doświadczeń egzy-
stencjalnych. Często przebiega z niej wcale nie
metafizyczny konkret, codzienna dosłowność i li-
ryzowany reportaż (m.in. utwory z „Antologii
szkolnej”) z wyraźnie zaznaczonym podmiotem
narracji:

„Gdy już po wszystkich była egzaminach,
wspomniała mi, że mogłoby wpaść wieczorem;

była sobota, i ciasno tkwił korek
w szybie butelki czerwonego wina.

Deszcz padał, kiedy wstał niedzielną rano;
i gość na palcach przez skrzypki parkiet
przebrnąwszy, cicho skłonił marynarkę
z gwóźdźmi, wbitego chyboliwie w ścianę.

(...) Później w pokoju swym składał użduś kantów
spódnicy, nie patrząc na trącający potem
klucz, pasujący do tak wielu zamków,
a tak wstrząsnął swym pierwszym obrotem”

(„Debiut”)

Można rzec więc, że cały rozległy obszar
poetyckich inspiracji Josifa Brodskiego zamyka
się z jednej strony metafizyczna refleksja na te-
mat stosunku materii i ducha, tego co fizyczne
do tego co psychiczne, a z drugiej strony jakby
„zwyczajną” obserwacją, notatką do pisarskiego
dziennika. Widać to także w formułach języko-
wo-stylistycznych charakteryzujących się już to
kunsztem i komplikacją formy, już to potocz-
nością i językiem „na co dzień”.

Nie jest to poezja polityczna czego można by-
łoby się spodziewać znając biografie Brodskiego.
Brak w niej więc typowej dla tego typu twór-
czości retoryki i apetytów hasel. Chyba, że
będziemy czytać te utwory między wierszami i
interpretować je na sposób zachodniej krytyki,
niewolnej w takich przypadkach, jak Brodski od
ideologicznych przecięć.

Na koniec może warto powiedzieć, że znajdu-
jemy w twórczości Josifa Brodskiego wcale liczne
polonica. Oto przykład jednego z wierszy (ten
cytat także w przekładzie S. Barančaka):

„Dzień się nazywał pierwszy września.
Dzieci — jako że jesień była — szły do szkoły.
A Niemcy właśnie zrywali pastwiska
polskie szlabany. I jakby paznokcie
gładził cynfolię, tak czołgi zgładziły
polskich ulanów.

Wet zaskłanki z kredensu
i za ulanów wypijmy, co stoja
na pierwszym miejscu na liście poległych
niby w dzienniku szkolnym.

Znowu brzozy
szumią na wietrze i liście wirują,
jak nad zrzucaną z głowy rogatynką,
nad dachem domu, gdzie nie słychać dzieci.
I ciężkie chmury niosą pomruk gromu
ponad oknami, zasnutymi mrokiem”

(„I września”)

Josif Brodski jest drugim po Iwanie Buninie
rosyjskim pisarzem emigracyjnym, którego do-
strzegł Komitet Literackiej Nagrody Nobla. Czy
zajmie pozycję w literaturze rosyjskiej równą
Buninowi pokazuje czas. W tej chwili noblowskie
honory mogą wydawać się kontrowersyjne, także
ze względów, o których pisałem na wstępie tej
informacji.

GRZG.

Opowieści Złotego Pierścienia

Będzie to omówienie książki — odbiegające
swoim charakterem od utartych szablonów.
Przed wszystkim zajmę się autorem wyboru
tekstów oraz wstępu ten wybór poprzedzają-
cego. I tak: ukazanie się tej publikacji w Pol-
sce zawdzięczamy Rosjaninowi, który mógłby
stać się naturalizowanym Polakiem, gdyby nie
fakt, iż po przeszło dwudziestoletnim pobycie
w Łodzi wyjechał nagle do Iwanowa. Mówię
o WASYLU KOCZNOWIE, wielkim przyjacielu
naszego kraju i narodu, propagatorze pol-
skiej literatury w ZSRR. Tak się złożyło, że
Kocznow mieszkał w miastach, które nawią-
zały ze sobą współpracę w różnych dziedzi-
nach życia, w tym także w życiu kulturalnym.
Wasył Kocznow mieszkając już w Iwanowie,
przygotował do druku w Polsce antologię opo-
wiedzi pisarzy Iwanowa pt. „Opowieści Zło-
tego Pierścienia”. Jest to wybór niezwykle u-
dany, powiedziałbym, reprezentacyjny dla do-
konań twórczych tamtejszego środowiska lite-
rackiego.

W niniejszym omówieniu nie zamierzam do-
konywać jakichkolwiek ocen zamieszczonych
w antologii tekstów, zaznaczę jedynie, że są
one oryginalne, posiadają spory ładunek dra-

matyczny i prezentują wysoki kunszt war-
sztatowy. Natomiast chcę kilka zdań poświę-
cić samej antologii, która być może okaże się
kamieniem węgielnym inicjatyw wydawniczych
tego typu w obu zaprzyjaźnionych ze sobą
miastach. By o tym jednak mówić, muszę po-
nownie wrócić do postaci Wasyla Kocznowa.
On bowiem nie tylko przygotował wybór teks-
tów, lecz całość poprzedził dość obszernym
wstępem napisanym po polsku, w którym sta-
ra się przybliżyć naszemu czytelnikowi i twór-
czość prezentowanych pisarzy znad Górnej
Wołgi i przypomnieć o wieloletnich związkach
Ziemi Iwanowskiej z Polską, a także o tym,
że Ziemia Iwanowska była kolebką Kultury
staroruskiej. Czytając ten interesujący wstęp,
znalazłem w nim pewną nieścisłość, jestem
przekonany powstała z winy wsądobylińskiego
„chochlika drukarskiego”, a mianowicie stwier-
dzenie, iż jeden z najsłynniejszych zabytków
literatury światowej, pochodzący z XIII wie-
ku, jakim jest „Słowo o pochodzie Igora” zo-
stał odnaleziony w XIX wieku. Ponieważ do
antologii nie dołączono erraty, więc niniej-
szemu prostuję: nie w XIX a pod koniec
XVIII wieku zbieracz zabytków dawnej Rusi

graf (hrabia) A. I. Musin-Puszkina otrzymał
manuskrypt od archimandryty z klasztoru Zba-
wiciela w Jarosławiu. Prawda natomiast jest,
że po raz pierwszy wydano „Słowo” w 1800 r.
i że oryginał spłonął dwadzieścia lat później
podczas pożaru Moskwy.

We wspomnianym wstępie Wasyl Kocznow
z istic dziennikarskim zacięciem tropi iwanow-
skie polonica, które czasem zaskakują ludzi
dość dobrze zorientowanych w dziejach lite-
raty rosyjskiej i radzieckiej.

Należy wspomnieć także o znakomitym przy-
gotowaniu edytorskim wyboru i wiele ciepłych
słów powiedzieć o redaktorze antologii Kazi-
mierze Iskrzyńskiej, która ją opracowała oraz
o niebanalnej szacie graficznej, którą wyko-
nał Janusz Szymański-Glanc.

Antologia opowiadał pisarzy Iwanowa pt.
„Opowieści Złotego Pierścienia” zawiera utwo-
ry 15 prozaików w przekładach łódzkich tłu-
maczy.

EUGENIUSZ IWANICKI

Opowieści Złotego Pierścienia. Krajowa Agen-
cja Wydawnicza, Oddział w Łodzi, 1987 r., str.
296. Cena 600 zł.

Metafizyka płci?

Prozę Jacka Krakowskiego — pomimo kun-
sztownej konstrukcji — trudno nazwać po-
wieścią. To raczej językowa magma: rodzaj
tworzywa, z którego można ulepić dowolny
twór, posługując czytelnika wyobraźnię mniej
lub bardziej wymyślnymi fantasmagoriami
narratora, który z uporem godnym podziwu
wszystko wokół gmatwa i rozmywa. Jurną do-
słowność i symbolikę scen erotycznych uzu-
pełniają quasi-filozoficzne spory, którym — u-
waga, uwaga! — nadaje kierunek aktualne
położenie d... Maryni. Tyle tylko, że przysło-
wowa Maryna wcieliła się w tej prozie w po-
staci demonicznych kobiet, a właściwie kobie-
tonów — jak je nazywał Witkacy. Skojarze-
nie zresztą nieprzypadkowe: opary witkacolo-
gii unosią się nad „Transmem” jak duch nad
wodami, nie jestem jednak pewien, czy pro-
zie Jacka Krakowskiego wychodzi to na do-
bre.

Ramy jej wyznacza identyczne — umiesz-
czone na początku i na końcu utworu — zda-
nie: „Od pewnego czasu zaczęły mnie nawie-
dzać dziwne sny...”. Ich zawartość oscyluje
wyłącznie wokół penisa i vaginy. Pomysłowo-
ści w tym zakresie nie można autorowi od-
mówić, o co w dzisiejszym rozerotyzowanym
świecie wcale nie tak łatwo. Jakość pomysłów
pozostaje wszakże zróżnicowana, o czym świad-
czą owe różne „jeb-maszyny”, „kluski-fallu-
ski”, „panny-wanny” etc. Podstawowy zaś

sens tego obszernego dzieła sprowadza się do
rozpamiętywania różnych wariantów starej
jak świat i w związku z tym niezbyt odkryw-
czej tezy, iż „wszystko obraca się wokół du-
py”.

I na tym w zasadzie można by zakończyć
notę o książce Jacka Krakowskiego, gdyby nie
okoliczność, iż mamy tu do czynienia w grun-
cie rzeczy z sytuacją przewrotną — pozornie
prostą, a nawet wulgarną tworzywo języ-
kowe i myślowe służy kompromitacji rzeczy-
wistości przedstawionej, wciągając powoli czy-
telnika do swoistej gry pozwalającej tropić
przeciwieństwa natury ludzkiej, wyznaczonej
opozycją pomiędzy sacrum a profanum. Kra-
kowski zresztą, aczkolwiek nazbyt jak na
mój gust chaotycznie, przedstawia indywidualne
doświadczenia i wyobrażenia (tkwiące
niemal wyłącznie w sferze seksualnych dewia-
cji) — wyobrażeniom, mitom i symbolom wy-
tworzonym przez społeczeństwo na podłożu po-
szukiwań porządku innego niż rzeczywistość
naturalna. Przewrotność okazuje się dalece po-
suniętą, bowiem w miarę rozwoju narracji o-
pozycja sacrum — profanum ztraca wyrazi-
stość, zaś rzeczywistość przedstawiona pogra-
ża się w chaosie nie do przezwyciężenia.

Dopiero wówczas trzy gracie zadające per-
manentnie gwałt narratorowi (fizyczny i mo-
ralny) ujawniają prawdziwe oblicza poprzez
ujawnienie awych rzeczywistych imion: Res,

Ero i Nou, co od biedy można rozumieć jako
symbolikę tróistości natury człowieczej, zako-
rzonionej w doświadczeniach codzienności, e-
rotyki i skłonnościach do myślenia. Demaska-
cja owa nie na wiele jednak zdaje, bo
narrator — przytłoczony tajemną siłą witalną
— nie wykracza poza ambiwalencję: poraża
go zjawiskowa postać świata, a pociąga rze-
czywistość absolutna. Tworzywo tedy na własny
użytek teorię poznania, bełkotliwą jakoś, z wo-
dolejstwem, a raczej — spermolejstwem. I po-
wraca do punktu wyjścia, do określenia czło-
wieka poprzez metafizykę płci. Rozumuje: „Je-
śli świat obojętny, nie zważający na człowie-
ka, tak silnie przyciągał go do siebie, że ten
z własnej woli nieustannie się nim zajmował,
musiało istnieć coś, co powodowało, że czło-
wiek zmuszony był do pozostawania względem
świata w jakimś stosunku wykluczającym mo-
żliwość dotarcia kiedykolwiek do ostatecznej
prawdy o rzeczywistości”. Dla bohaterów
„Transu” tym czymś okazuje się stosunek płcio-
wy. „Oduńczony majakami” inspirowanymi
owym odkryciem narratorskie pragnie podzielić
się z czytelnikiem częścią swojego odurzenia.
Ciekaw jestem, w ilu przypadkach się to po-
wiedzie?

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Jacek Krakowski: „Trans”. Iskry, Warszawa
1987, s. 252, nakład 1 750 + 250 egz., cena zł
350.

POWSTAŁ W 1927 R., skupiający dziś około 300 członków, Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historycznego obchodził w tych dniach 60-lecie.

PTH prowadzi zakrojoną na szeroką skalę działalność popularyzatorską i wydawniczą. Sam tylko Oddział Łódzki był od 1945 r. organizatorem 500 odczytów naukowych i popularnonaukowych, a także 70 sesji. (Wiele u nich miało charakter ogólnopolski). Przygotował również 300 odczytów metodologicznych dla nauczycieli historii.

Z okazji jubileuszu, 23. w BUL odbyło się uroczyste posiedzenie naukowe OL PTH. Wzięli w nim m.in. udział wiceprezydent Łodzi dr Jan Nosko.

Za zasługi dla Łodzi i regionu OL PTH otrzymał: Honorową Odznakę Miasta Łodzi, odznakę „Zasłużony dla województwa sieradzkiego” i „Zasłużony dla województwa skierniewickiego”. Odznakami uhonorowani także zostali wyróżniający się działacze OL PTH.

W halu BUL otwarta została tego samego dnia wystawa obrazująca dorobek OL PTH w minionym sześćdziesięcioleciu.

W RUMUŃSKIM ORGANIE PARTYJNYM „Scapeta” (z października br.) ukazał się reportaż z Łodzi, piera Petre Popa, zatytułowany „Nowe wzniesienie w herbie starego miasta”.

Autorem pisma z podziwem i przemyśleniami, jakie we wszystkich dziedzinach życia dokonywały się w powojennej Łodzi. Poakreśla, że przemysłowa Łódź stała się również bardzo prężnym ośrodkiem kulturalnym. Świadczy o tym liczne wyższe uczelnie, wytwórnie filmowe — w których powstają głośne i wartościowe filmy fabularne, dokumentalne i animowane. Tutaj kształcili się i tworzyli wielcy reżyserzy: Andrzej Wajda i Roman Polański.

Pointą wrażeń rumuńskiego autora, wyniesionych z naszego miasta jest stwierdzenie, iż nieprzypadkowe — z inicjatywy Wojciecha Jaruzelskiego — budowany jest w Łodzi Szpital — Pomnik Matki Polki. Będzie on, bez wątpienia, nowym smakiem w herbie starego miasta.

Z ORYGINALNĄ TWÓRCZOŚCIĄ malarstwa Włodzimierza Sobczyńskiego-Jussinga (z wyłączenia prawnika, członka Stowarzyszenia Plastyków Amatorów), można się zapoznać w Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy.

Główna tematyka obrazów Włodzimierza Sobczyńskiego jest kobieta w różnych rolach.

Jak wyznaje sam twórca: „maluję ten nasz ludzki teatr, w którym kobieta odgrywa, choć w sposób sobie nieświadomy, ważniejszą rolę niż mężczyzna”.

Przypuszczamy, iż przedstawicielki pięknej doceniają takie credo artysty.

BESTSELLEREM NA ZACHODZIE stała się autobiograficzna książka Ingmara Bergmana pt. „Laterna Magica”.

Twórca głośnych filmów ukazuje w niej bez osłonek swoje życie prywatne, kolejne małżeństwa i liczne romanse.

WYSTAWIONY PRZEZ THE ROYAL COURT THEATRE

w Londynie „Cesarz” Ryszarda Kapuścińskiego (wydarzenie ostatniego sezonu), zostanie zaprezentowany warszawskiej publiczności w Centrum Sztuki Łódzkiej.

NAGRODĘ II stopnia Rektora Uniwersytetu Łódzkiego otrzymali: Izidor Hałas, Barbara Wachowska, Paweł Samuś, Mieczysław Banderka — za ceną publikację faktograficzną z dziejów łódzkiego ruchu robotniczego: — „Jan Pietrusiński i towarzysze” (wydana pod auspicjami KM PZPR w Zgierz, w 1986 r.).

ROZSTRZYGNIĘTY został międzynarodowy konkurs fotografii artystycznej „FOTOEXPO '87”, organizowany co dwa lata przez Poznańskie Towarzystwo Fotograficzne.

Hasłem wywoławczym tego konkursu jest tradycyjnie „Kim jesteś młody człowieku?” Towarzyszy mu zawsze wielkie zainteresowanie w kraju i za granicą.

Nadesłało swe prace tym razem 270 autorów z 23 krajów europejskich oraz obu Ameryk, Azji i Australii.

Grand Prix otrzymał Mieter Schwindt (RFN). Mimo nam donieść, że złoty medal przyznano Zdzisławowi Kacykowi z Łodzi.

Oprac.: JAK

NOWE ATENY: Andrzej Grun

Kilka lat temu redakcja „Odgłosów” w osobie Jerzego Wawrzaka udzieliła azylu moim „Fryzjom” — rysowanym felietonom na różne tematy; nie zawsze związane z życiem. Ukazywały się na łamach tego pisma przez kilka lat. Ze sporej ich części powstała potem wystawa, która objechała kilka miast Polski, a wreszcie, dzięki zainteresowaniu byłego dyrektora Muzeum Historii Miasta Łodzi Antoniego Szrama i książki „Książka nosiła tytuł „Fryzury albo Gejsza na biegunach”. Co te tytuły miały oznaczać? Nie wiem!

Teraz powinienem powiedzieć, że miałem liczne i przykre ingerencje cenzury. Otóż — stety czy nieestety — tylko jedna, (mógłbym tu stworzyć legendę, jak to byłem niepokorny!) kiedyś któraś z person mojego teatru wola: „...ktury krul kóp-czy swoją churą...” — cenzura nieestety trafiała jasna cholera i kazał chociaż „ktury” napisać przez „u” kreskowane. Druga ingerencja cenzury odnosiła się do rysunku zawieszonego na wystawie do góry nogami...

Po dogadaniu się z ówczesnym naczelnym, Lucjuszem Włodkowskim, powracam ze swoimi rysowanymi felietonami na „Odgłosy”. Noszą one obecnie tytuł „Nowe Ateny”. Dlaczego? Może dlatego, że kompletnie ich nazwa, tych wydawanych w latach 1745—1756 przez księdza Benedykta Chmielowskiego brzmiała: „Nowe Ateny, albo Akademia wszelkich sciencyj pełna na różne tytuły, jak na classes podzielona, mądrym dla memoryjalki, idyiotom dla nauki, politykom dla praktyki, nie-lamentom dla rozrywki erygowana, alias o Bogu, bożków mnóstwie, słów pięknych wyborze, kwestyj cudzych wiele, o Sybilla zbiorze...”.

Pomyślności w oglądaniu — czytaniu!

ANDRZEJ GRUN



EWA KARWOWSKA

To miała być twórczość zaprzęgnięta do rejestracji etapów budowy socjalistycznego państwa i pozytyw-nych zjawisk społecznych, do portretowania bezimiennych bohaterów z kielniami i kilofami w dłoniach. W końcu lat 40-tych dyskutowano o niej z żar-kiem. Jak nigdy później, w owych sporach o kształt sztuki brała udział zdecydowana większość artystów i teoretyków — ci, należący do przedwojennej awangardy i ci, co jeszcze nosili studenckie czapki, ci z grupy „nowoczesnych” i ci z postimpresjonistycznej konserwy malarstwa. Temperatura owych polemik i wystąpień skakała wysoko, bo i stawka była niebagatelna. Julian Przybysz pisał o tym tak: „Chodzi o wielką, rewolucyjną ideę plastyczną, o malarstwo, które by odpowiadało nowym widzeniom na nowy otaczający świat”.

ly katalog tematów, którymi najczęściej była odbudowa kraju, bohaterowie pracy socjalistycznej, walka o pokój itd. Może był to epizod, trwał siedem lat (od 1949 do 1955), a może cała epoka. Dziś socrealizm jest w zasadzie przyk-ładem, jak z kulturą postępować nie należy i nie można. Rzadko się się do dzieł powstałych wówczas, upychając „ludzi z marmuru” i monu-mentalne „reportaże” z rozlicz-nych budów w najgłębsze za-kamarki muzealnych magazy-nów, wstydliwie nie dostrze-gając owych lat w twórczości, nawet najznakomitszych, arty-stów. Częściej mówimy o tych czasach jako „mroku staliniz-mu”, okresie „błędów i wypa-czeń”, łamiącym ludzkie posta-ty, przyczyniającym się do tragicznych w skutkach wy-borów. Tak było zapewne, cze-go dowodem jest rezerwowanie Władysława Strzemińskiego z Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, co

skiego” i „Proletariatu”) zapewne inspirowały wielu ma-larzy w okresie socrealizmu. Znajdujące się w tej części Eksponatów collages A. Lenicy, nieco Légerowskie płótna H. Stażewskiego, ekspresyjne gra-fiki M. Majewskiego pokazują jak różna mogłaby być sztuka ówczesnego czasu. Zabrakło w tym fragmencie jednak prac „Zespołu samokształceniowe-go”, grupy wówczas młodych artystów, studentów Akademii Krakowskiej, którym przewo-dził Andrzej Wróblewski i któ-ryzy odegrali pewną, acz nie zaplanowaną, rolę w przysto-waniu gruntu do wprowadze-nia doktryny socrealizmu. Płót-na „neobarbarzyńcy”, jak wów-czas nazywano A. Wróblew-skiego, jego „Rozstrzelanie” i „Dworzec powojenny” ze wspó-lnej wystawy, w której uczest-niczyli m. in. A. Wajda i K. Nałęcz, zajęły znaczące miej-sce w historii malarstwa po-wojennego, a wyrosły przecież z fermentu tamtych lat. Szko-

znalazła się w oficjalnym wów-czas nurcie sztuki, ani dzieł, które wykorzystując lukę i nie-szczelność doktryny, powsta-wały na jej peryferiach, ko-rzystając z dotychczasowych o-signięć tradycji impresjoni-stycznej, ekspresjonistycznej czy surrealistycznej, i które w du-żej mierze oparły się próbie czasu. Owe „nie ma” można by powtarzać nieskończenie, slegając do coraz innych przy-kładów i mówiąc o braku szer-szej reprezentacji np. szkoły sopockiej, przedstawicieli kolo-rizmu (np. Eugeniusza Eibi-scha i choćby jego obrazu „Le-nin i spójniacy”) i tak dalej, bez których dzisiejszy widz nie może sobie wyrobić właściwe-go sądu o marzeniach, naka-żach, osiągnięciach i porażkach socrealizmu. Wystawa zatem nie ukazuje w pełni bezsensu sztuki uwikłanej w wydumaną przez polityków doktrynę, ani nie broni sensu działań twór-ców, z których wielu kierowało się szczerymi przekonaniem.

Kiedy sztuka dostaje zakalca



Wojciech Fangor „Postaci” (1950 r.)

Foto: P. Nowak

Marzenie o nowej plastyce, odpowiadającej nowym czasom okazało się trudne, a wkrótce wręcz niemożliwe do urzeczy-wistnienia. Mimo najszczęs-zszych chęci, mimo całego za-pału wynikającego z woli u-czestnictwa w dziełach prze-mianach, a trzeba pamię-tać, że dla wielu artystów tworzenie w imię wyższych ra-cji historycznych oznaczało wyjście z inteligenckiego re-zerwatu i miało smak wielkiej przygody, było bowiem — jak pisał Janusz Bogucki w „Sztu-ce Polski Ludowej”: „wkró-czeniem w rejon gry trudnej, ale pociągającej szansą od-ro-bienia lat straconych dla twórczości, nadzieją urzeczywist-nienia siebie przez czynne u-czestniczenie w ruchu sil for-mujących świat ówczesny”, mi-mo zatem obiektywne istnie-jących warunków sztuka nie rozwinęła się, a przeciwnie, skostniała, zastęglą w gorse-cie zbyt sztywnej doktryny. Dlaczego? Odpowiedź jest po-wszecznie znana. Gdy w sztukę bezpośrednio wkracza polityka w formie obligatoryjnych przy-kazów, to sztuka, niczym źle pieczone ciasto, dostaje zakal-ca. Nakazy zaś sformułowane jednoznacznie, nie pozostawia-jąc miejsca na swobodę arty-stycznego wyboru. Indywidua-lizm, zwykłe w twórczości ce-niony, w dobie socrealizmu kwalifikowany był jako... błąd polityczny. Ówczesny teoretyk realizmu socjalistycznego, a zarazem minister kultury i sztuki — Włodzimierz Sokorski zalecał wzorowanie się na Ma-tejce, przy czym historyczny warsztat służyć miał pokaza-niu typowych cech czasów współczesnych, obowiązkowo w optymistycznym, pogodnym na-strój. Z czasem owe „wytycz-ne” określały nie tylko idee i sposoby tworzenia, ale ustala-

praktycznie stało się dla twórcy początkiem końca. Owe ciemne strony socrealizmu u-trudniały i zniechęcały kryty-ków, nawet dziś, po 30 latach, do wnikliwej i bardziej rzetel-nej oceny tego okresu. Historia potraktowała soc-realizm tak, jak ten chciał traktować sztukę. Zamknęła go w kilku zdaniach negatywnej oceny, niczym żabę w forma-linie, nie odcinając tego, co można uznać za interesujące, choćby w kategoriach prawdy o tamtych czasach, od tego, co jest zdecydowanie mierne i na-leży li tylko do koniunktural-nej produkcji artystycznej. Szansa na inne, może już pozbawione emocji spojrzenie na sztukę socrealizmu, a na pewno pełne ukazanie tego o-kresu, z uwzględnieniem róż-nych jego przejawów i mimo jednoznaczności doktryny wie-lu odcieni mogła być wystawa przygotowana w Muzeum Na-ródowym w Warszawie i zaty-tulowana „Oblicza socrealizmu”. Niewiele jednak mamy owych tytułowych „oblicz epoki”. Zbyt mało dzieł z tamtych czasów, zbyt jednostronnie do-branych, by można było w o-cenie tego kierunku wyjść po-za stereotypowe uwagi i kon-statacje. Może najpełniej po-traktowana została część pier-wsza wystawy, zatytułowana „Ochotnicy”, w której, jak pi-szą autorzy scenariusza, zap-rezentowany został socrealizm avant la lettre, czyli tego fa-za „przeddyrektywna”. Wśród o-chotników mamy i Władysła-wa Strzemińskiego, uosabiają-cego nowatorskie spojrzenie na sztukę i usiłujące znaleźć kompromis między awangardo-wą formą i społeczną treścią, ale mamy także zmarłego w 1948 roku Felicjana Kowar-skiego, którego realistyczne prace („Portret górnika Pstrow-

da zatem, że ich nie pokazano. Nie pokazano zresztą bardzo wielu innych, wybitnych prac, które funkcjonowały w nurcie oficjalnego życia kulturalnego i prezentowane były na kolej-nych „Ogólnopolskich Wysta-wach Plastyki”, a nawet, mimo oskarżeń o formalizm, były wyróżniane. Do nich m. in. za-liczają się prace: Marka Włodarskiego „Barykada” i Boh-dana Urbanowicza „Cześć bo-haterom Grammos”, operujące syntetyczną formą, ewokującą wewnętrzny dynamizm i określonym nastrojem, wysta-wione na I OWP. Do nich na-leżą obrazy młodych wówczas — Wojciecha Fangora i And-rzeja Strumiły. Praca tego o-statniego — „Nasza ziemia” rozpoczyna wprawdzie główną część ekspozycji w Muzeum Narodowym, ale zabrakło in-nego, może ważniejszego obra-zu, jakim jest symboliczno-poe-tyckie w wymowie dzieło „Za prawo do pracy”. Są liczne przykłady, poświadczające, w jaki sposób artyści wywiązy-wali się z zadania portreto-wania socjalistycznej przebu-dowy i modnego wówczas wy-sługu pracy, m. in. płótna Hele-ny Krajewskiej, Aleksandra Kobzdeja, Włodzimierza Za-krzewskiego, Juliusza Kraje-wskiego i Zdzisława Głowackie-go. Nie ma natomiast całego obszernego nurtu obrachunku z przeszłością wojenną, choćby wartościowego „Spartakusa” Bohdana Urbanowicza, nie ma też malowanych „reportaży” z podróży do innych krajów: Chin, Wietnamu, Korei. W tej twórczości najwybitniejszą po-zycję zajął Tadeusz Kulisię-wicz, a dla Aleksandra Kobz-deja rysunkowe reportaże były furtką do, choćby chwilowego, odejścia od socrealistycznej manier. Nie ma zatem pełne-go przeglądu twórczości, która

Z narady Stalin był zadowolony. ON wystąpił na niej nie tylko jako inicjator i organizator rozbudowy Moskwy. ON zachował dla Rosji to miasto, którego nazwa droga jest każdemu Rosjaninowi. ON zachował Moskwę w takim kształcie, jaki zna i wyobraża sobie każdy Rosjanin. Nie ci, siedzący w sali, inteligenci o wysokich czołach, troszczący się o kulturę Rosji, lecz ON, właśnie ON, i tylko ON zaspokoili rdzennie rosyjskie uczucie miłości do Moskwy i szacunku do Moskwy. I dlatego Moskwa teraz jest JEGO miastem przyszła Moskwa — JEGO pomnikiem. Rosjanin Kirow szamocze się w Leningradzie, trąbi o rozbudowie Leningradu, a co tam rozbudowywać? Leningrad jest już ukształtowanym miastem, to kamienna bryła, z którą nie się nie da zrobić i z którą Kirow nie może zrobić.

Ale, jak zwykle, kiedy demonstrował swoją wyjątkowość, opanowało go przenikliwe poczucie samotności. Wstają i klaszczą, ale nie kochają go, boją się go, dlatego wstają i klaszczą. Z wielką satysfakcją, triumfem i radością traktowałoby go obalonego. Nie mogą, nie chcą pogodzić się z jego wyższością, z jego wyjątkowością i niepowtarzalnością. Dla nich jest nie douczonym seminarzystą, ograniczonym plebejuszem. Nawet „współtowarzysze” boją się umocnienia jego władzy, rozprawy o kolektywnym kierownictwie, o roli KC, trzymają w rezerwie teoryjkę Pokrowskiego, odrzucającego rolę jednostki w historii, pragnąc tym samym pomniejszyć przede wszystkim JEGO rolę w historii partii, w historii Rosji.

Nie uda im się to. ON stworzy nie tylko nową historię Rosji, ale także wypracuje nowe kryteria oceny wydarzeń historycznych — tylko tak można zapewnić prawidłowe sądy obecnych i przyszłych pokoleń o epoce JEGO epoki.

Cezar i Napoleon zostali cesarzami nie z próżności, lecz w wyniku konieczności historycznej. Tylko Cezar ze swoją autokratyczną władzą mógł odeprzeć barbarzyńców, tylko Napoleon-cesarz mógł podbić Europę. Władza najwyższa powinna być pełna cesarskiego majestatu, tylko taką władzę naród będzie czcił, tylko jej się podporządkuje, tylko ona jest zdolna wpoić mu lek i szacunek. Rosyjskie nauki historyczne przedstawiają Iwana Groźnego jako przestępcę. W rzeczywistości zaś Iwan Groźny był wielkim działaczem państwowym, przysięgł do Rosji Kazań, Astrachań i Syberię. Jako pierwszy w historii Rosji, a może nawet nie tylko Rosji, wprowadził monopol handlu wewnętrznego. Jako pierwszy z carów rosyjskich na pierwszym miejscu postawił zasadę dobra państwa: wszystko podporządkowuje się jego interesom. Bojarzy stawiali opór tworzeniu silnego scentralizowanego państwa i dlatego błąd Groźnego tkwił nie w tym, że karał bojarów śmiercią, ale w tym, że ukarał śmiercią nie wszystkich, nie wytepił czterech głównych rodów bojańskich doszczętnie. Starożytni, byli przewrotni w tym względzie, tepili swoich wrogów do trzeciego i czwartego pokolenia, doszczętnie i na zawsze.

Nauki historyczne nieprawidłowo oceniały rolę opryczniny. Trzeba rozróżniać pojęcia „oprycznina” i „oprycznik”. Oprycznina była gwardia Groźnego, postępowym wojskiem, przeznaczona do walki z bojarstwem i bojarami. Oprycznik był wykonawcą, pomiędzy nimi powinni być także oprawcy. Ustawy o wyrokach śmierci, wydają humanitarni członkowie parlamentów, wysocy wykształceni prawnicy, ale wykonują karę śmierci kaci.

Piotr Pierwszy był wielkim władcą, stworzył nową Rosję. A co pisał o Piotrze Pokrowski? Oto jego słowa: „Piotr, nazwany przez pochlebnych historyków Wielkim, zamknął żonę w klasztorze, żeby ożenić się z Katarzyną, która przedtem była pokojówką u pewnego pastora w Estonii. Własnoręcznie torturował swojego syna, a potem kazał go uśmiercić potajemnie w kazamacie twierdzy Pietropawłowskiej... Umarł w następstwie syfilisu, zaraziwszy uprzednio także swoją drugą żonę...”. To już wszystko, co Pokrowski zobaczył w Piotrze.

Te brednie rozpowszechniały „przewódca szkoły historycznej”. A to, że Piotr przebudował Rosję, tego nie zauważył. Oto do jakich bzdur można dojść, oto do czego doprowadza doktrynerskie pojmowanie marksizmu i odrzucanie roli jednostki w historii. I tego prymitywnego socjologa cenił jako czołowego historyka, chwalił jego „Kroćki zarys historii Rosji”, nieudolną pracę, przedstawiającą wszystkich historycznych działaczy Rosji — jako beztalentą i miernictwo. Jak mógł chwalić to Lenin? Lenin, który dobrze rozumiał znaczenie jednostki w historii.

Pokrowski chciał uchodzić za obrońcę leninizmu, jedynego komentatora poglądów Włodzimierza Lenina. Co to nie. Jedynym komentatorem poglądów Włodzimierza Lenina może być tylko jego następca, tylko kontynuator jego dzieła, tylko ten, kto po nim prowadził kraj. Jego następca, jego kontynuator — jest Stalin. Kraj prowadził Stalin. To znaczy, że tylko Stalin jest jedynym komentatorem Leninowskiej spuścizny, w tym także w dziedzinie historii, jako że ON tę historię TWO-RZY. Jednakże w ciągu dziesięciu lat towarzyszy Pokrowski nie powiedział ani słowa o tym, jaki wkład wniósł towarzysze Stalin w rozwój nauk społecznych. Czyżby nie rozumiał towarzysze Pokrowski, że kierować państwem — to znaczy rozwijać teorię państwa? Rozumiał. Ale towarzysze Pokrowski nie chciał uznać towarzysza Stalina ani za uczonego, ani za teoretyka.

Antymarksistowską szkołę „historyczną” Pokrowskiego trzeba zniszczyć do cna. Autorytet Lenina powinien służyć temu, co jest potrzebne partii dziś i co może się przydać jutro. I autorytet Lenina powinien przejąć jego następca. Stalin dnia dzisiejszego — to Lenin. Kiedy Stalin umrze, jego następca będzie się nazywał Stalinem dnia dzisiejszego. Tylko w ten sposób można stworzyć niepodważalną sukcesyjność władzy, jej wieczną stałość i niewzruszalność. Nauki historyczne powinny potwierdzić, że Stalin jest prawdziwym spadkobiercą Lenina, nie mogło być innego spadkobiercy, ci, którzy pretendowali do Leninowskiej spuścizny, są żalosnymi samozwańcami, politycznymi awanturnikami i intrygantami. Nauki historyczne powinny potwierdzić, że Stalin zawsze szedł ramie w ramie z Leninem. Nie Zinowiew, który był na emigracji tylko sekretarzem Lenina, nie Kamieniew, który był tam tylko jego referentem, ale właśnie ON, który w Rosji w praktyce tworzył partię. Dlatego też nazywa się ona partią Lenina-Stalina. Wszelkie drobne różnice między Leninem i Stalinem powinny być

zapomniane, powinny być usunięte z historii na zawsze. W historii powinno pozostać tylko to, co czyni Stalina Leninem dnia dzisiejszego. Głównym zadaniem jest stworzenie silnego socjalistycznego państwa. Do tego potrzebna jest silna władza. Stalin stoi u szczytu tej władzy, to znaczy, że razem z Leninem stał u jej początków, razem z Leninem przeprowadził Rewolucję Październikową. John Reed naświetla historię przewrotu październikowego w inny sposób. Taki John Reed jest nam niepotrzebny.

Czy będzie to wypaczeniem Historii? Nie, nie będzie. Październikowego przewrotu dokonała partia, a nie emigranci, którzy mieszkali w Paryżu, Zurichu i Londynie. Zaprawiali się tam w dyskusjach i dysputach, nauczyli się rozprawiać i wlewać w ogródki paryskich kawiarni, a rewolucjonistów Rosji musieli milczeć albo mówić półgłosem. Ale właśnie oni, szeregowi, skromni pracownicy partyni, to oni właśnie w decydującej chwili poprowadzili masy do walki, do rewolucji, a potem także do obrony rewolucji. Właśnie ON jest przedstawicielem tych kadr partii i dlatego ICH rola w wojnie domowej jest JEGO rola, a JEGO rola — to jest właśnie rola partii.

I tak, na takich zasadach, powinna się tworzyć historia, a historia partii przede wszy-

krzesło po drugiej stronie stołu. I mama, ma-
leńka, siwa, pospieszyła na wskazane miejsce,
opuszczając głowę, nie patrząc na Saszę. I, za-
ledwie usiadła, podniosła oczy i już więcej nie
spuszczając z niego wzroku. Wargi jej drżały i
drobnymi ruchami trzęsła się głowa.

Sasza patrzył na nią, uśmiechał się, serce
mu krwawiło. Tak postarzała się matka, wy-
glądała na bardzo nieszczęśliwą, tyle cierpienia
było w jej oczach. Przyszła w starym wytar-
tym płaszczu, nazywała go „moja gabardyna”,
i on przypomniał Saszy, że jest już wiosna, a
mama widział w styczniu.

Dolna połowa okna była zamalowana na bia-
ło, ale przez górną świeciło wiosenne słońce,
jego promienie padały w przeciwny róg celi,
gdzie siedział strażnik o obojętnej twarzy.

— Chciałem się ogolić i nie zdążyłem, fryzje-
ra dzisiaj nie było — wesoło opowiadał Sasza.

Patrzyła na niego milcząc, wargi jej drżały
i głowa się trzęsła — nie mogła nad tym zapa-
nować, starała się nie rozplakać.

— Fryzjer jest domorosły, pozarządowy, nikt nie
chce się gościć u niego, a może jest mi do
twarzy z broda, może zostawić?

Milczała, drobnymi ruchami kiwała głową i
patrzyła na niego.

— Jak tam wszyscy? Żyj, zdrowi?

ANATOLIJ RYBAKOW

(21)

Dzieci Arbatu



klim. Tak zwane kierownictwo kolektywne jest
mitem. Żadne „kolektywne kierownictwo” w
historii ludzkości nie istniało. Rzymski senat?
Czym się skończył? Cezarem. Francuski trium-
wirat? Napoleonem. Tak historia ludzkości jest
historią walki klas. Ale jako wyraził woli
klasy występuje WODZ i dlatego historia ludz-
kości jest historią jej wodzów i władców. Nie
ma tu idealizmu. Duchą epoki określa ten, kto
tę epokę tworzy. Epoka Piotra była jedną z
najbardziej wyrazistych w historii Rosji, od-
zwierciedla ona jego wyrazistą osobowość. Rza-
dy Aleksandra Trzeciego są zupełnie nielike i
w zupełności odpowiadają jego własnej nicości.

3.

Rano Boris poszedł umawiać się z woźnicą.
Sasza zabrał się za pisanie listów.

„Kochana Mamo”
Wyrok ogłosili mu w tym samym pokoju,
gdzie był wcześniej przesłuchiwany. Jakis funk-
cjonariusz przeczytał uchwałę Specjalnego Po-
siedzenia. Artykuł pięćdziesiąt osiem, paragraf
dziesiąty, zesłanie do Wschodniej Syberii w try-
bie administracyjnym na trzy lata z zalicze-
niem aresztu wstępnego.

— Podpiszcie.
Sasza przeczytał dokument. Może jest w nim
napisane, że co dali mu te trzy lata? Nic nie
ma. To nawet nie jest wyrok, lecz punkt z ja-
kiejś ogólnej listy, gdzie został umieszczony ja-
ko piąty, dwudziesty piąty, a być może nawet
trzysta dwudziesty piąty.

Sasza podpisał. Wyrok ogłoszono rano, w
dzień było spotkanie z matką, wieczorem wy-
szło go do drogi.

W przeddzień zjawił się strażnik, podał pa-
pier i ołówek.

— Kogo wzywacie na widzenie?

Zapisał mamę i ojca... Waria? Może napisać:
Waria Iwanowna — narzeczona. Narzeczona
mają obowiązek wezwać. Dlaczego właśnie
Waria? Czy on ją kocha albo ona go kocha?
A jednak właśnie ja chciała widzieć. „Prer-
paćnych kwiecie, twój głos najśladzszy w świe-
cie”. Tego słodkiego głosu było mu brak. Ale
Sasza Warę nie zapisał: czy ona pragnie tego
spotkania, czy on jest jej potrzebny, czy czeka
na niego?

Strażnik przyprowadził Saszę do małej celki
i wyszedł, zamknąwszy drzwi. Sasza siedział
przy stole i myślał, jak przetrzasz się mama,
zobaczysz go z broda, jak strasznie będzie
się czuła, idąc więziennymi korytarzami.

Zazgrzytał klucz, mignęła twarz strażnika, za
nim twarz matki, jej siwa głowa. Strażnik sta-
nął bokiem, odgradzając Saszę plecami, żeby
mama nie mogła do niego podejść, wskazał jej

— Już się umówiłam. Nie teraz, ale kiedy
do ciebie przyjadę.

— Po co masz do mnie przyjeżdżać?

— Przyjadę do ciebie.

— Dobrze, dogadamy się listownie — rzekł

Sasza pośpieszając. — Z instytutu ktoś przy-
chodzi?

— Ten mały, krzywy...

Runoczkina. Znaczący, z kolegami wszystko w
porządku.

— Co mówił?

— O zastępcy dyrektora...

Kriworuczeko. Znaczący, jest tutaj. Dżakow nie
kłamaj.

— Właśnie o niego tutaj chodzi — wyrzekł
Sasza.

Strażnik wstał.

— Widzenie skończono.

— Właśnie o niego chodzi — powtórzył Sa-
sza. — Przekaz Markowi.

Zaczęła potakująco kiwać głową na znak, że
rozumie: Saszę aresztowano z powodu zastępcy
dyrektora, trzeba to przekazać Markowi. Prze-
każe, chociaż wie, że to na nie. Wszystko na
nie. Niech będzie, jak jest, żeby tylko nie go-
rzeć. Te trzy lata miną, kiedyś przecież się
skończy.

— I przekaz też: żadnych obciążających ze-
znań nie składałem.

Strażnik otworzył drzwi.

— Wyjdźcie, obywatelko!

Sasza wstał, objął matkę, przylgnął do nie-
go.

— No i tak — Sasza poglaskał ją po mię-
kich, siwych włosach — wszystko jest w po-
rządku, a ty płaczysz.

— Wyjdźcie, obywatelko!

Nie wolno się uściśnąć, nie wolno się zbli-
żać do siebie, no ale wszyscy tak właśnie po-
chodzą, ścisają się, całują.

— Dalej, dalej — takimi jak zawsze ru-
chami ramion strażnik popychał mamę do
drzwi. — Było wam powiedziane, że macie
wyjść.

Sasza napisał mamie, że wszystko dobrze, że
jest zdrowy, w dobrym nastroju, nie mu nie
trzeba przysłać. A pisać do niego trzeba na
wieś Boguczany okręgu kańskiego, na poste-
restante.

Boris wrócił zły — nikt nie chce jechać, boją
się złej drogi, żądają ciężkich pieniędzy. A
komendantura nie czeka — nikogo nie obcho-
dzi, jak się dostaniesz. Na koszty podróży dają
grosze — nawet i na pół drogi nie wystarczy.

Obiad jedli znowu w „Skupie Futur”. W kacie
przy pustym stoliku, rozczochrany, siedział Igor.
— Hrabia na posterunku — zauważył Boris

— czeka na mnie i na Dulcyneę. Na Dulcyneę
— żeby poczytać wiersze, na mnie — żeby
dostać darmowy obiad. Ale nie doczeka się, ja
sam jestem teraz bezrobotny.

Kucharka tym razem nie wyszła do Solowiej-
czyka, głośno przestawiała rondle, trzaskała alu-
minowymi talerzami.

— Zwał się pan, Borisie Sawieljewiczu, sie-
dził od rana, wobec pracowników niezręcznie,
to nie ciekawie, żeby okrucy zbierać.

— Porozmawiam z nim.

Boris już nie był kierownikiem, ale kuchar-
ka, tak jak wczoraj, wiała mu na talerz dodat-
kową łyżkę śmieci.

— Trzeba zrozumieć jej sytuację — powie-
dział Boris — żebraków nie wolno wpuszczać
do stołówki, ona za to odpowiada.

— On jest głodny — odpowiedział Sasza.

— Wiesz, Sasza — ze złością zaproponował Bo-
ris — to ja tu urządziłem zesłańców. Teraz,
rzecz jasna, mam to w nosie — wyjeżdżam.
Ale dla tych którzy tu zostali, jest to kwestia
życia i śmierci. A skończy się na tym, że ich
stąd wyrzucą. Uprowadzę, przychodźcie koło
drugiej, kiedy pracownicy już zjedzą, nie ró-
biecie hałasu, nie pchajcie się na oczy, cicho, spo-
kójnie, akuracie. Ale nie. Zjawia się z samego
rana, sterczy cały dzień, zjada resztki, recytuje
wiersze, a wiersze, wiesz, bywają różne i ama-
torzy wierszy też bywają różni... Rozumiesz
mnie?

— W Paryżu ludzie spotykają się w kawiarni,
dyskutują, Igor przyzwyczaił się do tego.

— A ja się przyzwyczaiłem do ciepłego kło-
zetu — odparował Boris — do łazienki, telefo-
nu, restauracji. Jak widział, odzwyczaiłem się.

— Dajmy mu obiad ostatni raz — zapropono-
wał Sasza — ja zapłacę, zawołaj go.

Boris wzruszył ramionami, spochemnił, ki-
wnął na Igora palcem.

Igor czekał na ten znak, zakreślił się niespo-
kójnie, niezgrabnie, wygramolił się zza stołu,
podszedł, uśmiechając się przypochlebnie.

— No tak dostałeś pieniądze za rysunki? —
spytał Boris.

— Obiecuja na dniach.

— A gdzie dama?

— Waleria Andriejewna wyjechała do Len-
ngradu.

— Całkiem?

— Całkiem.

— „Dziwne spotkanie nasze, rozstanie nasze
dziwne” — wymamrotał Boris. — No, siadaj.

Boris pośpiesznie usiadł, położył zmietany kasz-
kieta na stół, zorientował się, przełożył na kola-
na.

Boris pokazał głową na Saszę.

— Jutro nas...

Igor uniósł się i uklonił się Saszy. Sasza
uśmiechnął się do niego.

— No więc — ciągnął Boris — jutro wysy-
lają nas nad Angarę. Dogadaliśmy się z nimi:
ciebie i innych będą wpuszczać tu po dawne-
mu. Ale czas najwyższy, żebyś wiersze zro-
zumiał; to nie jest kawiarnia na Montmartrze.

— Rozumiem — nachylał się nad stołem,
wyszczał Boris.

— To jest zamknięta stołówka zakładowa...
Zjada się obiad i do widzenia. Nie masz pie-
niędzy — nie przychodzi. Takie są tu zasady.

Jak odmówię tobie, to pół biedy. Ale przez
ciebie mogą odmówić też innym zesłańcom. Zro-
zumiałeś?

— Zrozumiałem, ale ja nie jestem zesłańcem
— pośpiesznie odpowiedział Igor.

C.D.N.

Tłumaczyła:

EWĄ-KATARZYNA NOWAK

Polemiki • Listy • Opinie

JAK ZMNIEJSZAMY BIUROKRACJĘ?

Uchwała V plenum KC PZPR dotycząca: „Przeprowadzenia w okresie poprzedzającym referendum, kampanii polityczno-wyjaśniającej. W jej trakcie instancje i organizacje powinny skutecznie utrwalic społeczną świadomość celów, treści i spodziewanych efektów reformy...” natchnęła mnie, długoletniego członka partii, wywodzącego się ze środowiska transportowców i budowlanych okręgu łódzkiego, do przedstawienia na łamach prasy nurtujących go środowisko wątpliwości i spostrzeżeń dotyczących działania władz niezgodnych z wytycznymi pierwszego etapu reformy gospodarczej, w przekonaniu, że będą one wyjaśnione.

Decyzja o likwidacji 16 ministerstw i powołania 8 nowych centralnych organów jest dla wszystkich zrozumiała i budzi zaufanie, o ile zmiany zapoczątkowane w administracji centralnej spowodują zmniejszenie biurokracji na niższych szczeblach zarządzania. Polska jest bowiem jednym z nielicznych państw o tak dużej liczbie naczelnych, centralnych i terenowych organów państwowych. Jak jednak w kontekście tak ważnych zmian rozumieć decyzję władz województwa łódzkiego, które realizując wytyczne pierwszego etapu reformy gospodarczej przekazały 30.06.87., za pośrednictwem Wydziału Budownictwa Urzędu Miasta Łodzi, informację o utworzeniu na skutek podziału dwóch przedsiębiorstw budowlanych, tj. LKB-Zachód i LKB-Południe czterech nowych przedsiębiorstw. Do wiadomości nie wtajemniczonym podaje, co zresztą nie było tajemnicą w środowisku budowlanych łódzkich, że przedsiębiorstwa te borykały się z dużymi trudnościami finansowymi; bank odmówił udzielania im kredytów, nie widząc perspektyw dalszego ich rozwoju.

Oczekiwano ogłoszenia upadłości przedsiębiorstwa. I nagle w sytuacji, gdy:

— budownictwo łódzkie buduje rocznie o 2/3 izb mieszkalnych mniej niż w końcu lat siedemdziesiątych;

— istniejące przedsiębiorstwa budowlane odczuwają dotkliwy brak wysokokwalifikowanych pracowników;

— przedsiębiorstwa budowlane, takie jak Kombinat Budownictwa Ogólnego oraz Przedsiębiorstwo Gospodarki Maszynami Budownictwa wychodzi ze swoim potencjałem produkcyjnym poza granice kraju; powstają nowe przedsiębiorstwa budowlane pogarszające i tak złą sytuację zatrudnienia.

Zadajemy sobie pytanie, czy to są te pozytywne zmiany pierwszego etapu reformy gospodarczej, a może to przyspieszona realizacja drugiego etapu?

JERZY PIASECKI

SZLAG NAS TRAFIA

Zachęcona przez redakcję „Odgłosów” — „Jak cię szlag trafia zadzwonił” pisać, bo nie będę mogła w tym czasie zadzwonić. Mieszkam na Osiedlu Bugaj 94, bl. 21, Pabianice. Od roku toczymy walkę o sprzątanie klauzury i bezskutecznie. Interwencyjny w Adm. nr 3 przy ul. 20 Stycznia, jak również u z-cy prezesa Sp-ni w Pabianicach, lecz bez rezultatów. Po naszych interwencjach raz tylko schody dozorczyni „przejechała mokrą szmatą” i na tym koniec. Administracja czuje się wręcz obrażona, że my śmiemy się upomnieć o sprzątanie klauzury, patrząc na nas „bykiem”. Według nich jest czysto, a tylko lokatorzy takie swintuchy i dlatego jest brudno. A po nas niedługo pchły będą skakać. Po kawku same myjemy, ale nie wszyscy lokatorzy mają na to ochotę i czas. Płacimy zresztą wysokie czynsze z tego tytułu. My przecież również pracujemy i musimy wykonać swoją pracę solidnie, darmo pieniędzy nikt z nas nie dostaje. A tutaj niestety, dozorca bierze pieniądze za darmo, o czym kierownictwo administracji doskonale wie i jeszcze popiera to swoim zachowaniem.

Obok naszego bloku 21, Os. Bugaj 94 od lat jest nie uporządkowany teren: brak krzewów, trawników, ławek, pełno błota, śmieci i samochodów z całego osiedla (myje się, reperuje i gazyje). Na połowie tego terenu, w zeszłym roku „towarzystwo prywatne” rozpoczęło budowę sklepików w budkach, podczas gdy nie ma na osiedlu sklepu spożywczego. Mamy daleko do sklepu, który jest zawsze zatłoczony (jak dworzec PKP). Zaczęta budowa stoi już rok i znowu wokoło błoto, śmieci, balagan. Jak długo tak będzie, nie wiadomo. Byli przeróżne święta Pabianic, święta osiedli i nikt nie zabrał się do zrobienia porządku w tej części osiedla. A przecież ul. Bugaj prowadzi do hotelu i Ośrodka Rekreacji, z którego korzystają mieszkańcy Pabianic i przyjeźdźni (są nawet kolonie zagraniczne). Uważam, że ulica i osiedle powinno być zadbane i uporządkowane. Deklarowaliśmy swój udział przy porządkowaniu, ale przyjęto nasze słowa obojętnie, wręcz wrogo. Laskawie dano nam żużel na zworniane miejsca na parkowanie naszych samochodów.

Być może to temat nudny i nieciekaw, ale to są nasze codzienne sprawy, przy których „szlag nas trafia”.

H.W.
(nazwisko i adres znane redakcji)

EWANGELIA PRZY MUZYCE

W jednej z broszur programowych zamieścili słowa Marka Twaina: „To, co w Biblii uprawia mnie w zakłopotanie, to nie rzeczy, których nie rozumiem; tym, co uprawia mnie w zakłopotanie, są raczej rzeczy, które rozumiem”. I dlatego Zbór zielonoświątkowy w Łodzi, działający w ramach Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, pragnie m.in. pomóc wiernym odpowiedzieć na pytanie, czy zrozumieli przesłanie Chrystusa, lecz jednocześnie nie dostrzegali, w czym dotyczy to ich w szczególności. Biblia pomaga także w walce z narkomanią. Metoda monarowska prowadzi do tego, aby narkoman uznał, że jest niczym, i dopiero na tej bazie ma się w nim wszystko odbudować. Kościół Ewangeliczny natomiast — jak stwierdza pastor M. Milewski ze Słupska — stawia na modlitwę, czytanie i objaśnianie Biblii i odnajdywanie w niej opisów odpowiadających stanowi duchowemu narkomana.

Ewangelia i muzyka. Taki charakter miała III Chrześcijańska Konferencja Młodzieży, na której wystąpiła m.in. Sheila Walsh, znana piosenkarka chrześcijańska muzyki gospel, występująca w TV angielskiej wespół z Clifem Richardem.

Podobny charakter miały dwa koncerty misyjno-ewangelizacyjne, zorganizowane przez łódzki Zbór zielonoświątkowy, które odbyły się 24 i 25 bm. w zdolnej pomieścić 1000 osób sali sportowo-widowiskowej „Pamotexu” w Pabianicach.

Wieksość wiernych to młodzież. Na estradzie młodzi muzycy, podłączeni do nagłośnienia, a w tle napis złotymi literami: „Jezus światłością dla świata”.

Rangę spotkania stanowi zwiastowanie Ewangelii, lecz najpierw saksofon, perkusja, instrumenty klawiszowe i grupa młodzieży oraz soliści wykonujący pieśni, czyli refreny chrześcijańskie. Słowa o treści religijnej, lecz muzyka w stylu country, jazz, rock, soul. Muzyka nowoczesna, radosna. Bo, nasz Kościół — mówi pastor Józef Suski — ma charakter entuzjastyczny. Można modlić się, klaskać, słuchać muzyki.

Potem powitanie i pierwsza część występu grup religijnej Immanuel, uprawiającej gospel rock musik.

Wreszcie słowa Boże, które zwiastuje przebiter Michał Chydzik.

I znowu Immanuel. Dzięki elektronicznym instrumentom klawiszowym pieśni nabierają nowoczesnego i oryginalnego brzmienia. Zespół o tzw. zdrowym obliczu. Kto nie cierpi wycia i wulgaryzmów świeckich kapel rockowych, ten słucha z przyjemnością grupy Immanuel.

A w rogu sali stoisko z ciekawą literaturą chrześcijańską. Od McDowella dowiesz się, czy zapis biblijny jest rzetelny, Paul Levis powie ci, co w chrześcijańskim poglądzie na miłość i seks jest twoim najważniejszym organem seksualnym i czy mężczyźni reagują inaczej na kobiety.

Są też książki D. Villkensa i N. Cruza o pracy ewangelistów wśród gangów młodzieżowych Nowego Jorku.

A brat Jacek Rzońca, rzecznik prasowy łódzkiego Zboru, już dziś zaprasza na chrzest wiary albo chrzest wodny dla dorosłych poprzez zanurzenie, który odbędzie się 7 listopada na basenie „Włókniarza” w Pabianicach. Albowiem, jak pisze znawca przedmiotu Derek Prince, od piątego wieku przed i aż po drugi wiek po Chrystusie słowo „chrzest” zawsze oznaczało zanurzenie.

(r.b.)

„W IMIĘ EKUMENIZMU I TOLERANCJI...”

W numerze 43(1543) „Odgłosów” z 24 października 1987 r., w dziale „Polemiki, listy, opinie” zamieszczono wypowiedź W.A. na temat zainstalowanego w kościele w Julianowie dzwoniczowego zegara elektronicznego. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, bowiem od pewnego przynajmniej czasu wypowiedzianie się na różne tematy nie jest w Polsce niczym rewelacyjnym i nikogo już nie dziwi różnorodność poglądów.

Rozumiem nawet, że delikatne ucho W.A., nawykłe do pieśni „masowych” drażnił może nieznaną mu melodia, tym bardziej, że — jak sam przyznaje — nie wie „na czyją chwałę” się rozlega. Nie będę próbował wyjaśniać tej kwestii W.A., nie chciałbym bowiem zmuszać go do nadmiernego wysiłku. Tylko po co, dla poparcia swego stanowiska W.A. wytacza zaraz najcięższą artylerię? — Porusza bowiem i „święte krzyże Solidarności” i nagrała się ze „świętych męczenników-księży”, zajmujących się różnymi ciemnymi sprawami.

Otóż uważam, że część wypowiedzi W.A. po prostu za nieśmiała. Zostawmy bowiem w spokoju męczenników, w tym również księży — bo i takich nam nie brakowało (czegoś dowodem chociażby przykład sprzed kilku lat...), byli to przecież ludzie mający odwagę umierać za swoje przekonania, na co nie każdego stać...

W jednym wszakże punkcie zgadzam się z W.A., a mianowicie, kiedy wyraża on życzenie żeby „za pozorami szła również rzeczywistość postawa”. Święte słowa! — Mam jeszcze w pamięci wypowiedzi wyznawców pewnej ideologii, którzy z wyśwytch dostojnie głosili, że posiadane przez nich legitymacje nie tylko nie dają im żadnych przywilejów, ale wręcz przeciwnie, nakładają na nich ogromne obowiązki wobec społeczeństwa i zmuszają do skromności, czy wręcz ascezy!

No i co? — w niedługim czasie okazało się, że te obowiązki to luksusowe posiadłości sprawiane sobie za społeczne pieniądze, obrazy „wypożyczone” z państwowych muzeów, a nawet kafele z zabytkowych krakowskich kamieniczek, zaś jedyny efekt, to dzisiejszy stan gospodarki kraju!

Nie wiem — i jest mi to w gruncie rzeczy obojętne — czy W.A. jest „karaimem, mahometaninem, buddystą lub niewierzącym”, ale wiem za to z całą pewnością, że W.A. nadmiarem odważy nie grzeszy i na wszelki wypadek woli się schować za inicjałami...

TADEUSZ MICHAŁSKI

Od redakcji: Najbardziej bawi nas to, że w polemikach autorzy tekstów jakby miesza argumenty. Coś podobnego zrobił też Tadeusz Michałski. Ale mniejsza z tym. Natomiast nie możemy zgodzić się i zawsze będziemy przeciw temu występowali, aby tolerancję rozumieć tylko i wyłącznie jako godzenie się z „moimi” poglądami. Jeśli inni godzą się z tym, co głoszą, to są tolerancyjni, jeśli nie — to obokuranci. A przecież W.A. też ma prawo do prezentowania swoich racji. Czyż nie?

ŁÓDZIANIE NA JESIENI POEZJI I W TEATRZE STARA PROCHOWNIA

I w tym roku także Warszawską Jesień Poezji zorganizowano sprawnie i z wielkim rozmachem. Było też w niej nieco akcentów łódzkich, aczkolwiek lista poetów i krytyków spoza stolicy jest raczej skromna: trzydziści trzy osoby na czterdzieści siedem tylko z samej Warszawy. Rozróżniamy zaproszonych poetów z reszty Polski wygląda nieco dziwnie: nie ma ciekawego poetyckiego Opola, Szczecina, Zielonej Góry, Koszalina, Torunia etc. Ale jest to już sprawa głównego organizatora „Jesieni” — Krzysztofa Gąsiorowskiego, który notabene, otrzymał w tym roku tradycyjną nagrodę imprezy stołecznej listu. I. Słowackiego.

Ale wracamy do akcentów łódzkich: w Teatrze Stara Prochownia u znakomitego recytatora wierszy — Wojciecha Siemion — o czym zresztą doniosła warszawska prasa i rozwieszono w mieście afisze, plus informacja w „Jesiennym” biuletynie na str. 4) — 25 września o godz. 17 było prezentowane, widowisko pt. „Wydawnictwo Łódzkie w Prochowni”. Jednym z wykonawców wierszy łódzian był sam Wojciech Siemion. Prezentowano tam wiersze Doroty i Tadeusza Chróścielewskich, A. W. Mikolajewskiego (sam też jeden wiersz pięknie powiedział), przedstawiciela kierownictwa „WL” E. Kolbusa (opowiedział widom przy okazji nieco o „hołubieniu” poetów przez łódzką oficynę), H. Hartenberga, R. Gorzelskiego (współorganizatora imprezy w „Prochowni”), T. Giegiera, I. Sikirskiego, wielce ciekawe fascacje z czasów dawnej Łodzi opowiadał Z. Konicki.

W trakcie programu poetyckiego swoje pejzaże eksponowała łódzka malarka Ewelina Agaciak. Wydaje mi się, że z okazji kolejnego Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji Sieradz — Łódź za dwa lata należałoby powtórzyć ten program poetycki, zapraszając Teatr Starej Prochowni na nasz teren.

ROMAN GORZELSKI

„WÓJ Z GDAŃSKA” I STARY PROFESOR

Z opóźnieniem wpadł mi w ręce jeden z wrześniowych numerów „Odgłosów”, a w nim nota o „wójcie z Gdańska”, czyli o Arturze Geiserze. Bardzo cenię sobie wszelkie przyczynki do historii najnowszej, dobrze więc, że w „Odgłosach” znalazło się miejsce dla wzmianki o gauleiterze „Warthegau”, jednym z katów okupowanej Łodzi. Autor noty kończy ją informacją o procesie Geisera w 1946 roku i wykonaniu na zbrodniarzu wojennym wyroku śmierci na stokach poznańskich Cytadeli.

Może warto dane te uzupełnić faktem, że przewodniczącym Najwyższego Trybunału Narodowego, który skazał Geisera, był profesor Uniwersytetu Łódzkiego Emil Stanisław Rappaport (1877—1965). Student Wydziału Prawa UL w pierwszych latach po wojnie pamiętający z pewnością charakterystyczną sylwetkę

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zamieszczamy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

profesora, znakomitego znawcy prawa karnego, w szczególności międzynarodowego prawa karnego. Był także wielkim przyjacielem młodzieży.

Tyle uzupełnienia.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

STĄD DO KOBIETY

Ostatnio we współczesnej literaturze jawi nam się zagadkowy obraz kobiety polskiej. Otóż kobieta ta wstając rano w łazience uprawia masturbację (opis ginekologiczny), następnie bez śniadania, wypiliwszy tylko papierosa na brzegu wanny, zdążyła do pracy, aby po drodze w tramwaju przeżyć obmacywanie przez nieznajomego mężczyznę (opis ginekologiczny), w pracy czeka na nią przełożony i dwóch kolegów, przy czym jeden stosunek odbywa się na biurku (opis ginekologiczny), a dwa w zaciszu magazynu (opis ginekologiczny). Po wyczerpującej jak widać pracy (choć nie wiemy, czym się zajmuje właściwie ta polska kobieta), owa Marysia, Krysia czy Małgosia idzie w miasto, koniecznie robi zakupy i ciężkimi siatkami odbywa stosunek w bramie z mężczyzną, który wstąpił tam na pół litra (opis ginekologiczny). Kobieta polska wraca do domu tylko po to, aby się przebrać (co? zrobiła po drodze z zakupami, nie wiadomo), oczywiście nie je obiadu, ale odbywa stosunek z hydraulikiem (opis ginekologiczny), następnie wstępuje do dawnego kochanka, garbusa, aby z łitości spełnić czyn samarytański i odbyć z nim stosunek (opis ginekologiczny). Robi się późno, biegnie więc do koleżanki, z którą odbywa stosunek lesbijski (opis ginekologiczny). Razem z koleżanką idą do nocnego lokalu, gdzie oplacają się portierowi i kilku równie znaczącym personom, chwilę tańczą na parkiecie, ale już zjawiają się mężczyźni, koniecznie cudzoziemcy, z którymi obie damy odbywają szorstki stosunek (opis ginekologiczny). Po zainkasowaniu sporej sumy w dolarach amerykańskich, kobieta polska wraca do domu, gdzie czeka na nią mąż. Ciężkie wyrzuty sumienia skłaniają ją do odbycia stosunku z mężem (opis ginekologiczny), po czym zasypia marząc o wyjeździe do słonecznej Kalifornii, gdzie mogłaby odbywać jeszcze więcej stosunków (opis ginekologiczny). Po tak wyczerpującym trybie życia pewnego dnia okazuje się, że kobieta polska zaszła w ciążę, idzie więc robić skrobankę, ale najpierw, już na fotelu, odbywa stosunek z ginekologiem (podwójny opis ginekologiczny). Czasem kobieta polska zostaje odwiedzona do szpitala z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego. Odbiera tam kilka stosunków, przedzielonych operacją, przy czym niezwykle jest, czy te stosunki odbywają się w łóżku (osiem pacjentek na sale), w gabinecie lekarskim w czasie nocnego dyżuru, czy w ubikacji na oddziale męskim, gdzie rośnie w tym czasie długa kolejka tych, co by chcieli z owej ubikacji po prostu skorzystał w celach już zupełnie nieginekologicznych. Kobieta polska często wyjeżdża na wakacje, gdzie demoralizuje nieletniego syna gospodarzy, uświadamia pięcioletnią córeczkę sąsiadów, odbywa stosunek z miejscowym wariatem na stercie porąbanego drzewa (opis wyjątkowo drzazg połączonej z opisem ginekologicznym), idzie na polane, gdzie oddaje się kolejno wszystkim drwalom zatrudnionym przy wyrębie (wymyślenie igliwia połączone z opisem ginekologicznym), aby wreszcie paść w ramiona przejeżdżającego przypadkowo cudzoziemca, który za stosunek ginekologiczny płaci w żywych dolarach amerykańskich. Zmęczona, z podkrążonymi oczami, wraca do domu, gdzie odbywa z łitości stosunek z własnym mężem, aby na koniec w czasie masturbacji utopił się w wannie napełnionej po brzegi ciepłą wodą.

Siedząc uważnie współczesną literaturę polską, przestajemy się dziwić, że każda nasza rodzaczka wciąż jest zabiegana, na nic nie ma czasu, nie potrafi wyrazić swoich uczuć, a jeżeli już je wyraża, to wrzeszczy. Widać po takiej ilości stosunków może mieć dosyć. Nie ma żadnych myśli, nie przeżywa żadnych konfliktów, nie interesują ją żadne problemy współczesnego życia. Niby nadmuchała laika z plastiku z wmontowanym do brzucha mechanizmem, rytmicznie składa i rozkłada nogi, nie zastanawiając się nad niczym innym. Jedynym opisem, jaki jej przypada, jest opis ginekologiczny. Nie wiemy nawet, czy ma włosy jasne czy rude, nie znamy jej twarzy, wiemy natomiast dokładnie, gdzie znajduje się kępka jej intymnych włosów i wszystko, co usiłuje zakryć natura. Do spraw seksu podchodzi się na Zachodzie z coraz większą tolerancją, choć widać już zmęczenie pornografią. Ale my, jak mali neofici, nie możemy się od niej uwolnić. Stała się naszą literacką obsesją. Od świetlanej postaci matrony polskiej przeskoczyliśmy jednym susem do idealnej kurtyzany, która po tak wyczerpujących czynnościach dzień po dniu, noc po nocy, nie czuje nawet zmęczenia w kroczu. Jeżeli choć jeden z piszących mężczyzn spotkał taką kobietę, powinien ją bezgranicznie podziwiać. Za wytrzymałość.

ANNA KIESEWETTER

Od redakcji: Zgodnie z formułą kolumny „Polemiki — Listy — Opinie” drukujemy na niej również teksty, z którymi nie musimy się zgadzać. Na tej zasadzie publikujemy list Anny Kieseletter. A swoją drogą ciekaw! Jesteśmy (nie ma spisu lektur) opinii adresatów tego listu. Pisarzy.

INFORMUJEMY O KONKURSIE

Centrum Kultury Młodych w Łodzi organizuje turniej jedynego wiersza.

W turnieju mogą wziąć udział autorzy nie zrzeszeni w profesjonalnych związkach i stowarzyszeniach twórczych (jak: ZLP, STP, SAP, SD, PRL).

Wiersz nie może być wcześniej publikowany w prasie, jak również nagradzany w innym turnieju (lub konkursie).

Wiersz w 3 egz. maszynopisu oznaczonym godłem należy nadesłać lub dostarczyć do Centrum Kultury Młodych kod 93-021 Łódź, ul. Lokatorska 13 do dnia 10.11.87 (decyduje data stempla pocztowego). W osobnej kopercie oznaczonej tym samym godłem należy podać imię, nazwisko i adres.

Turniej odbędzie się w dniu 26.11.1987 r. (czwartek) w lokalu „CKM” o godz. 17.30.

Organizatorzy i jury zastrzegają sobie wybór wierszy do finału imprezy bez wcześniejszego powiadamiania autorów. Wiersz zakwalifikowany do finału prezentuje autor.

Jury złożone z poetów, krytyków i przedstawicieli organizatorów przyzna następujące nagrody: I — 10 tys. zł, II — 8 tys. zł, III — 6 tys. zł oraz 5 wyróżnień po 3 tys. zł. Jury zastrzega sobie prawo nieprzyznania I nagrody lub niewykorzystania pełnej puli nagród.

Organizatorzy podejmą starania o wydrukowanie wierszy nagrodzonych w prasie lub innym wydawnictwie.

Jugosławia z pewnością należy do krajów, do których jedziemy najchętniej, jeśli nie brać pod uwagę głównych w danym momencie kierunków polskiej turystyki „handlowej”. Te zmieniają się dość często i latem np. Grecja była głównym przedmiotem turystycznych posądzeń, choć chciałbym wiedzieć, jak duża część podróżujących rodaków słyszała cokolwiek o Akropolu. A co wie się u nas o tak licznie odwiedzanej Jugosławii, co zwłaszcza o Bośni i Hercegowinie?

Przypadło mi niedawno towarzyszyć zespołowi łódzkiego „Arlekina”, zaproszonego na gościnne występy z okazji odbywającego się w bośniackim Bugojnie piętego już biennale jugosłowiańskiego lalkarstwa. Ale nim te malownicze strony opiszę, pozwól sobie z dziennikarskiego obowiązku (a może z pewnego rodzaju pazerności, żeby „sprzedać” jak najwięcej z tego, co się zobaczyło) przekazać choćby wrywkową relację z pewnego węgierskiego miasta, leżącego na trasie naszej autokarowej podróży, nie jest ono bowiem często nawiedzane przez Polaków i chyba bardzo rzadko opisywane.

POSTÓJ W PECS

Jest to dwutysięczny, położony na południu kraju, uniwersytecki Pecs, do którego przybyliśmy późnym wieczorem, aby zanoć w godnym polecenia (jeśli kto ma dużo forintów) hotelu „Pannonia”. Krążąc następnego ranka przez niespełna dwie godziny ulicami Peksu zarejestrowałem w przebiegu akurat tyle, ile starczy na powierzchowne, ale za to spontaniczne ogólne wrażenie.

Ledwie wyjdzie się z hotelu i skroci w strumień uliczkę noszącą nazwisko popularnego niedawno u nas pisarza, Jokaja, stanowiąca ruchliwy pasaż handlowy, trudno się oprzeć pokusie zajrzenia do barokowego kościoła o szlachetnej fasadzie, i jak się okazuje niezwykle stylowym wnętrzu, ale nie przeładowanym. Od jego barwnych ścian oddziela się ciemne, marmurowe i zatarte tablice, upamiętniające w archaizmie, niemniej co najmniej przybylszy, a napis przy kościelnych drzwiach informuje, w której niedziele mieszkała odprowadza się na niemiecku. Do kościoła przylegała bezpośrednio zabudowana minaretu i żeby rozwiązać wszelkie wątpliwości (mimo charakterystycznej wieży), iż jest to rzeczywiście meczet, musiałam się dowiedzieć, że w kościele przylegała kamienica obwieszona wejście do restauracji „Minaret”.

Jeśli spragnione materialnych dóbr oko polskiego turysty oderwałoby się na chwilę od sklepowych wystaw, to zauważyłoby wśród wmurowanych w domy tabliczek po węgiersku i niemiecku objaśniających datę wzniesienia budynku i jego styl, jak np. „kamienica mieszczńska w stylu romantycznym, zbudowana w 1860 r.”. Poglądowa lekcja architektury i historii miasta, które chciałyby mieć uwiecznione na fotografii. Pytam więc w kolejnych kioskach o jakiś folder czy zdjęcie, ale nawet w stoisku turystycznym biura „Ibuszu” jest tylko niezwykle drogi album, nie na nasze diety podróżne.

Na jednej z ulic imienia sławnego kompozytora, Beli Bartoka natykam się niespodziewanie na kawiarenkę we wnętrzu fortecznego muru, z ogródkiem na zewnątrz, na co nie wróciłbym pewnie uwagi, gdyby nie nazwa „Cafe Barabani”. Czyżby jakieś polskie ślady? — zastanawiam się w pierwszym odruchu, ale mój naiwny polencyzm koryguje refleksja, iż tak lub podobnie nazywano w średniowiecznej Europie budowle chroniące bramę miejską przed bezpośrednim atakiem, a także ułatwiające wypady na nieprzyjaciela.

Zatrzymuje mnie też na chwilę ogłoszenie o nauczaniu języków obcych przez jakiś tutejszy „empik”, a mianowicie: angielskiego, niemieckiego, francuskiego, rosyjskiego, włoskiego, hiszpańskiego, chińskiego i serbsko-chorwackiego. Musi więc w niezbliżym wielkim Pecu być zapotrzebowanie na tych osiem języków! A kadrą nauczającą? Na afiszu teatralnym szukam polonistów. Oczywiście jest Sławomir Mrozek ze swoim znakomitym „Tangiem”, bodaj najbardziej znany w świecie nasz współczesny autor...

NA GRANICY

Za chwilę odjazd z Peksu. Kupuję jeszcze u ulicznej sprze-

dawczyni, smagłej, agrabnej dziewczyny w śnieżnobiałym fartuchu lody do lizania, po trzy forinty za kulkę, a do wyboru było sześć smaków. Trochę żałuję, że autokar już rusza, opuszczając niezmiennie uroklive miasto, o wyrazistej sylwetce. Chciałbym tu pobyć dłużej...

O formalnościach paszportowo-celnych na polsko-węgierskiej granicy nie ma co wspominać, przebiegały normalnie, spokojnie i w miarę sprawnie. Tym większym szokiem była dla nas kontrola na granicy węgiersko-jugosłowiańskiej.

Daleki jestem od oczekiwań wyrozumiałości obcych służb wobec uchylbów popełnianych przez moich rodaków i wcale nie wymagam od obcych celników, by czuli się wobec nas zobligowani istnieniem przysługiwania o dwóch bratankach. Nie wesze też (jak to czynia niektórzy) jakiejś antypolskiej zmywy na coraz liczniejszych przejściach granicznych i rozumiem, że jeśli na ogół traktuje się polskiego turystę podejrzliwie, ma to swoje uzasadnienie. Niemilo jednak człowiekowi, kiedy widzi, jak naprawdę czy nawet kurtuazyjnie przebiega odprawa innych grup turystycznych czy pojedynczych osób, zarówno ze wschodu, jak i zachodu a z jaką przesadą skrupulatnością, ironicznie i szorstko traktuje się Polaków.

Prawda, że Węgrów ma prawo interesować czy nie wywozi się z ich kraju zachodnich walut (które można kupić teoretycznie nawet iadac tranzytem). Jugosłowianie natomiast zdają się przywiązywać wagę do ilości wwożonej odzieży i obuwi. Ale otwieranie portfeli i walisz oraz ręczne bagażu całej grupy podróżujących, nawet jeśli pierwszy rewizor widzi, że są to nie zalegalizowane waluty, nawet wtedy taka zbiorowa sankcja wywołuje uczucie upokorzenia, poniżenia godności ludzkiej. Ale oburzać się mają moralnie o prawo tylko ci, którzy nie naruszają przepisów celnych, a tymczasem bywa inaczej...

W każdym razie ktoś, kto nie ma talentu do pakowania i po każdym przepakowaniu coraz trudniej mu zamknąć bagaż, czuje się i wygląda do takiej rewizji jak ratujący z pożaru reszki dobytku. Tak też i ja przekraczałem granicę jak uciekinier, któremu udało się zmylić nieustraszone straża, a nie jak turysta napawający się w obcym kraju nowymi widokami. Te widoki otwierały się zresztą po wielu godzinach łazdy i przebyciu nizinnych rejonów wschodniej Chorwacji, dopiero w Bośni i Hercegowinie.

Ala — co wie się u nas, tzn. co wie aktualny i potencjalny turysta o Jugosławii i tej skomplikowanej stosunkach narodowościowych i wyznaniowych, o ich historycznych uwarunkowaniach? Owszem, niemal każdemu dziś wiadomo, że wolno stamtąd wywozić waluty zachodnie, ale Bóg broń — nie wolno dinarów, toteż kto żył pozbawia się przed powrotem do kraju tamtejszej waluty po korzystnym dla nas czarnym kursie, a kto gapił ten zakupił alkohol, zwłaszcza spirytus.

NARESZNIE U CELU

Zacznijmy od Bośni i Hercegowiny, jednej z sześciu jugosłowiańskich republik, której stolica jest jak wiadomo Sarajewo, pamiętne zabójstwem arcyksięcia Ferdynanda, co stało się pretekstem wybuchu I wojny światowej. Leży tu też festiwalowe Bugojno, dokąd zainicjowali nam dane nam było podziwiać widokowe wspaniałości rzadkiej urody, przebiegać niezwykle malowniczo i niezbyt bezpieczną, bodaj stulećdziesięciokilometrową szosę wijącą się serpentynami w górę i w dół, mając po jednej ręce przepaść z przepływającym na jej dnie Vrbasem, a po drugiej pionowe skały z nawisami nad szosą — od Banja Luki (której pamięta ze szkoły tytuł „O cnej królowie Banjaluce”?) Przez Jajce — których nazwa rozbudza nagle nieco podejrzenia gramatyczna docieklivość — jak odmiennie: np. jedziemy do Jajców czy Jajec? — docieramy do nieco sennie dwunastotysięcznej miejsciny Donji Vakuf, która będzie baza wypadowa zespołu przez większą część naszego pobytu. Mnie ulokowano w samym powiatowym Bugojnie, bym mógł oglądać sobie przedstawienia, skoro już mnie z sobą zabrano, a oglądałem je chętnie i chyba z zawodowym recenzentem nożytkiem.

Tu bym powinien dać opis



Przez trzy granice

W Bośni czezą bohaterów

JERZY KWIECIŃSKI

domu kultury w Bugojnie, który mógłby stanowić przedmiot zazdrości niejednego miastu wojewódzkiego u nas, taki bowiem przestrzenny i funkcjonalny, tyle w nim przeróżnych zespołów i kół zainteresowań, taka — aż trudno uwierzyć — frekwencja publiczności, głównie młodzieżowej, i tak niewiarygodnie niechętni personel zarówno instruktorski, jak i administracyjny oraz techniczny. Muszę to jednak „sprzedać” osobno.

Tymczasem, aby uświadomić Czytelnikowi, z jakim narazem zapałem zwiędaliśmy ciele strony, wspomnę, iż tuż po nas przebywał te trasy autokar „Orblu” z Warszawy, któremu pędziła piasta w przednim kole. Wóz, dzięki przypadkowi i przytomności kierowcy, prawie zawiął nad przepaścią. Kierowca onowiadł, że nie wyobrażał sobie dotychczas, żeby w ciągu kilku sekund ciało ludzkie mogło dostownie zlać się z piętrem.

Jesteśmy tedy w Bośni na 43 równoleżnik, co jest szerokością geograficzną środkowej Italii lub Węgry, nie dziwnego więc, że mamy upały powyżej trzydziestu stopni w połowie września. Gorzej, że deszczu nie było od wielu tygodni i z owym ciepłem, brzośkami już wcale nie ma, a winogrona drogie. Zamieszkuje ten kraj Bośniacy choć mówią tym samym językiem serbsko-chorwackim co w Belgradzie i Zagrzebiu, to mają dość silne poczucie odrębności, wynikające m.in. z wyznawania islamu, który przyleża pod tureckim panowaniem, wybierając odstępstwo od wiary zamiast przesiadywania, ale przy islamie pozostał. Dodajmy, iż Bośniacy i muzułmanie są potocznie u tożsami.

Wielu naszych turystów, nie zdaje sobie sprawy, że język słoweński słyszany w Lublannie czy macedoński, który słysza w Skopiu, jak wreszcie serbsko-chorwacki są różnymi językami słowiańskimi i że mile widziane jest, gdy się okazuje wiedzę na ten temat, gdyż patriotyzm lokalny, czy raczej przywiązanie do najbliższej ojczyzny odgrywa tu rolę ciagle wielką rolę. Oczywiście, trudno wymagać, by cudzoziemiec w tym wszystkim dokładnie się rozeznawał, i żeby nie dziwił się, iż w przeciwieństwie do katolickiej Słowenii czy Chorwacji, noszących wyraźnie austrowęgierskie piętno (choćby w postaci wiedeńskiej secesji w architekturze, takiej jak w Pradze czy Krakowie), tu w Bośni i Hercegowinie owej cesarsko-królewskiej patyny nie znajdzie na lekarstwo. Bo właśnie ten kraj należał do Austrowęgier (lub bezpośrednio do Węgier) tylko przez czterdzieści lat — od wyzwolenia w 1878 r. spod tureckiego jarzma do zakończenia I wojny światowej. I stąd też oprócz kościołów katolickich i prawosławnych cerkwi tak dużo tu minaretów, choć co prawda nagany, na taśmę śpiew muzułmański przyjmowany

jest obojętnie, nikt nie bije pokłonów w kierunku Mekki, ruch uliczny toczy się nieprzerwanie. Można by powieścić: głos wołającego na puszczy... Ale świątynie innych wyznań też świecą pustkami; może to i dobrze, bo coż się nie wyczyna na świecie z przyczyn religijnej nadgorliwości.

Gdyby nie festiwal niewiele byłoby w Bugojnie atrakcji, toteż w czasie wolnym od przedstawień wybrałem się, za czyjąś radą, do położonego o dwa kilometry myśliwskiego pałacyku prezydenta Josipa Tita, zamienionego dziś na muzeum. Zanim przystąpiłem furtkę ogrodzenia, zapytałem miła panią — urzędującą tu w jakimś ni to kiosku, ni to portierni — czy muszę jako zagraniczny dziennikarz też wykupić bilet wstępu i czy nie można za darmo jakichś zdjęć, ciowych materiałów, bo u nas w Polsce dziennikarzom idzie się w tych sprawach na rękę. „Ale u nas się płaci” — odpowiedziała panią w tonie uprzejmego pouczenia.

W PALACYKU TITA

Na zboczach zalesionego wzgórza stoi, niezbyt licznie o tej porze odwiedzany, drewniany trójkondygnacyjny budynek o wyjątkowo przedwojennym przywagdom domu wczasowego dla ludzi zamożnych, miejsce wielokrotnych, na ogół krótkich pobytów marszałka Josipa Broz-Tita, który odbywał tu niekiedy państwowe narady i przyjmował zagraniczne wizyty (żadnej akuracji z Polski). U wejścia do pałacyku przez oszklone okno widać w garażu radziecką „Ladę”, ofiarowaną gospodarzowi przez Leonida Breżniewa.

Ostatnio Tito bawił tu pod koniec życia, ale jeszcze pełen myśliwskiej ochoty i bodaj z dwoma pobytami ustrzelił aż dziesięć ogromnych niedźwiedzi. Ich skóry rozpostarte na ścianach sprawiają niecodzienne wrażenie. Można też obejrzeć strój i broń myśliwską Tita, łącznie z kulami wyładowanymi z ustrzelonych niedźwiedzi, potem przechodzi się wraz z przewodniczką dalszych kilkanaście obszernych, dość komfortowo urządzonej pomieszczeń, w tym salce, gdzie Josip Tito, pozwolę sobie zaproszyć dni całej ekipie zaproszonych tu malarzy, a stała wystawka fotograficzna upamiętnia nam, z jak miłym przyzwoleniem i zrozumieniem ważności sprawy dla narodu pozwolął marszałek nabożnie skupionym i pełnym uniesienia artystom. W ostatniej już sali która powstała przez nakrycie podłoga basenu, w którym Tito zażywał kąpiele leczniczych, porozwieszano na ścianach dość obfity plon owych malarzów poczynił, którym, jak doświadczyć, nie przyswiewiały cele czysto artystyczne. Wyższych kondygnacji pałacyku nie zwiedza się.

Po wyjściu z pałacyku przy-

szedłem na ławce, żeby zanotować to i owo z tego co obejrzałem i usłyszałem. W pewnej chwili zobaczyłem przed sobą nogi w sztylpach, a podniósłszy wzrok ujrzałem przed sobą rosną postać policjanta czy też strażnika, który, zasalutowawszy zapytał mnie, kim jestem i co tu robie. Okazałem paszport i uświetliłem stosownych wyjaśnień co do mojej skromnej osoby, przypochlebnie wyrażając zachwyt, iż dane mi było znaleźć się w tak niezwykłym miejscu. Policjant przez pewien czas spisywał moje dane, a może i wyjaśnienia, oddał mi paszport, po czym zapisał, czy może się przysiąść. Zdał czapkę ze spoczonego czoła i pogwarzyłmy przyjaźnie o tym i owym, pochwalił mi się, że ojciec był partyzantem u Tita żył mi dobrze pobytu w Jugosławii i uścisnęliśmy sobie dłonie.

WIERNA PAMIĘĆ

Oczywiście marszałek i prezydent Josip Broz-Tito jest postacią legendarną i charyzmatyczną. Do legendy weszła cała ta, nie mająca sobie równych rozmiarami epopeja partyzanckiej wojny, której pamięć jest wszechobecna nie tylko w postaci wspaniałych mauzoleów i pomników, ale i niezliczonych żołnierskich grobów — w każdej miejscowości, w parkach i na poboczu kilku grobów okazalszych, kryjących szczerą bojownika u honorowanego tytułem „Bohatera” stoją szeregiem skromniejsze, nieraz w formie wbitych w ziemię tabliczek, często z napisem „Bojownik nieznan” a w Bośni zwraca uwagę częsta inskrypcja: „muzułmanin”. Sprawdziłem, iż pobliskie ulice noszą nazwiska tych z tytułem „Bohatera”. Tak, bezpatosu, bohaterów dzieje wchodzi tu w życie codzienne ludzi, ale czy to spoufalenie z narodowymi świętymi nie grozi spowszednieniem tego, co powinno chyba być odświętne, jeśli ma rozbudzać emocje.

Znamienne dla tego kraju są też — widoczne na piachach drzew i ścianach mieszkalnych domów klepsydry z krzyżem katolickim lub prawosławnym, z półkierzycem czy wreszcie z gwiazdą, gdy powiadają o pogrzebie świeckim. Ktoś z współtowarzyszy podróży zwrócił mi uwagę na jugosłowiańską osobliwość, jaką stanowią pokrzwione i nierówne rozmarami słupy telefoniczne, najwidoczniej z obróbką oni nie nadających się na belki czy deski. Może to i racjonalne, ale sprawia wrażenie jakiegoś zaniedbania i ubóstwa. Ciekawe, że prawie nie widuje się psów, ani w gospodarstwach obywatelskich, ani prowadzonych na spacer na smyczy, czasem tylko przemknie się jakiś wynędzniały psiak, może bezpański.

OSOBLIWOŚCI

Bośnia i Hercegowina do swoich większych atrakcji może zaliczyć dolinę Neretwy słynnej z partyzanckich bitew, a droga z Bugojna do Mostaru i dalej ku dalmatyńskiemu wybrzeżu jest krajobrazową wspaniałością. Słynny z zabytków muzułmańskiej przeszłości Mostar, o handlowych uliczkach jak ze starych płócien, miasto iluś tam minaretów, chlubi się, swoim szesnastowiecznym kamiennym mostem, którego nawierzchnie jak i pobliskich uliczek wyłożone podestwy niezliczonych patników i turystów. Z tegoż mostu, z wysokości 26 metrów popisuje się skokami do wody, miejscowy amator kaskader, który w ten ryzykowny sposób zarabia na dostanie życia. Jak tylko uzbiera od turystów 10 tysięcy dinarów (ok. 11 dolarów), skacze ochotczo. Niestety trafiam na przerwy w popisach, nasz bohater bowiem, widząc iż nie zanoszą się na szybkie zebranie wymaganej kwoty, poszedł podobno do jakiejś kafejki i nie mogłem się go doczekać, żeby dowiedzieć się czegoś o nim od niego samego. A swoją drogą jest coś nieludsko okrutnego w turystycznej łachczywości na sensację, na mocne wrażenia kosztem czyjeś bezpieczeństwa. A może przagnęlibyśmy skrycie, współczesne hieny turystyczne, być świadkami skoku nieudanego?

Z osobliwości turystycznych wymienimy też Jablanicę, która swoją sławę i zyski zawdzięcza pamięcie wojennej, nieczłowiecze pielegnowanej. Oto stoi do dziś z czasów wojny zerwany most, którego środkowe przęsło nurza się w wodach Neretwy, a na obu

ocalałych krańcach tkwią, jak dekoracja, resztki wysadzzonego pociągu — z tej strony lokomotywa z wagonem, z tamtej bodaj dwa wagony ostatnie. Czy po upływie blisko pół wieku przeszło zanurzone w wodzie ciągle opiera się korozji? A lokomotywa i wagony, wystawione na kaprysy aury? Aż trudno uwierzyć w autentyczność zachowanych obiektów... Otaczający teren zagospodarowano jako miejsce widokowe z gastronomią, oświatkarstwem i muzeum Bitwy nad Neretwą, która przyniosła Jablanicę wyzwolenie już w początkach 1943 r.

W dzień słońce praży, wieczorami lapiemy trochę wytchnienia. Na ulicach sporo młodzieży, dużo też przesiaduje po kafejkach. Można jednak wracać do hotelu spokojnie i bezpiecznie. Mimo dostępności i względnej taniości alkoholu nie widuje się pijanych „w trupa” czy agresywnie podnieconych. Myśląc o naszych ograniczeniach można by więc zawołać: „Nie tędy drogą!”. Ale, właściwie — diable to wiedza, dlaczego w jednym społeczeństwie te same przyczyny mogą wywoływać odmienne skutki niż w innym. W każdym razie jest to chyba kwestia najszerzej pojętej kultury...

JAK TAM BYŁO?

Kiedy się skądś wróci, ludzie zaraz pytają, jak tam jest. Chcą przede wszystkim wiedzieć, czy żyje się tam pod względem materialnym łatwiej czy trudniej niż u nas. Ciekawość zrosłała w społeczeństwie odczuwającym brak i mającym raczej dość wysokie aspiracje.

Jak więc się żyje mieszkańcom Jugosławii? Jakże są ceni, a ile on zarabia? Na takie pytania można usłyszeć odpowiedź: — „To zależy”. A od czego zależy? Nie tylko, jak u nas, od zawodu i stanowiska w pracy, ale najpierw od tego, gdzie ktoś żyje. Jeśli w Słowenii, to może zarobić blisko dwa razy tyle przy tych samych kwalifikacjach i na tym samym stanowisku. Bo są republiki bogatsze i biedniejsze. Ponadto w tym samym mieście takie same przedsiębiorstwa i instytucje, jak np. fabryka o tym samym profilu czy szkoły tego samego typu mogą płacić różnie w zależności od budżetu, który sobie wypracowały lub dotacji, na którą zasłużyły, a jeszcze w tej samej placówce może kierownik dać pensję większą lub mniejszą. Na ile takich i podobnych uwarunkowań płacowych stać się zrozumiałe pełne obawy i troski słowa jednego z moich rozmówców: — „Czy będą nam mieli teraz z czego pensję wypłacać?”. A obawy te odnoszą się do znanej już szerego poza granicami Jugosławii afery gospodarczej, która objęła ważne dziedziny przemysłu Bośni i doprowadziła, jak się twierdzi, do ruiny finansów republiki. Podobno waga się losy ewentualnej pomocy centralnego banku państwa dla Bośni, pożyczki oprocentowanej, która oczywiście trzeba będzie spłacić.

Inny mój rozmówca powiedział mi wprost, że liczy się z tym, że przez szereg lat trzeba będzie w Bośni zaciągnąć nasa.

Inne więc rządy tutaj prawa ekonomiczne, oczywiście jest zależność między pracą a płacą, między interesem przedsiębiorstwa a pracownikiem, słowem większa prawidłowość i jawność gry ekonomicznej wywala w ludziach świadomość ekonomiczną i, jak przypuszczam, nikomu nawet nie przyszłoby tu do głowy, że rząd mógłby lepiej płacić, ale nie chce...

Ala z pieniądzem jugosłowiańskim chyba nie jest najlepiej, jeśli tak stale i szybko spada jego wartość, choćby w stosunku do obowiązującego za miastą węgierskiego forinta. W sklepach jest wszystko, ale nie potrafia odpowiedzieć, jak wielu ludzi stać jest na zasobne życie.

Służby celne okazały się w powrotnie drodze nadspodziewanie łaskawe, za to nagle dały o sobie znać dotkliwie jesiennie chłody. Za przedłużenie sobie lata trzeba płacić szczerkami zębami, a i ten zwrot językowy wydaje się nieprzesadny. Dobrze, że w ojczyźnie chociaż z językiem człek sobie poradzi.

Nieodłącznym elementem polskiego reportażu od lat pozostaje motyw tzw. poloników. Dziennikarz znad Wisły będąc w Himalajach może nie zauważyć Mount Everestu, ale koniecznie musi dotrzeć do jakiegoś Jana Kowalskiego, którego rodzice lub dziadkowie przed półwiekiem osiedlili się u podnóża tego górskiego masywu. A jeśli polski reporter trafi do Australii, to wiadomo, że przemierzy cały kontynent, by odnaleźć kolejnego Jana Kowalskiego ryjącego sztolnie w po-

cińskiego. Myśmy napisali mu na kartce, a on się pomylił. Przerobił tego się nie da, więc tak zostało. Pytam skąd się tu wzięła. — Jest tu skromna kolonia polska, jeszcze sprzed wojny. Ale pochłania nas ta ziemia. Ja wyszłam za Moldawianina, moje dzieci także pożyły się z Moldawiankami. Rozrzedziła się polska krew, bardzo rozrzedziła. Oto moja synowa i wnuczka, one nawet nie rozumieją o czym my rozmawiamy. — Tęskni pani za Polską? Kobieta chce odpowiedzieć, ale jej usta nagle się wykrzy-

— Jak tę decyzję przyjęli koledzy — komsomoicy? Ksiądz Otto spuszcza oczy, lekko krzywi usta w uśmiechu. — Jak to ludzie w tamtych czasach... — Czy trudno jest dostać się do seminarium? — Kiedy ja składałem egzamin, było nas 50 na 10 miejsc. Teraz jestem na ostatnim roku i w ramach praktyki trafiam do Kiszyniowa. — Jakich języków uczą w seminarium? — Łotewskiego, łaciny, trochę polskiego i niemieckiego... — Ale tu, w tym kościele,

forteplanie, ale już komponuje. Jej młodsza siostra Roksan- da ma sześć i pół roku i śpie- wa. Czekaliśmy tu wszystkie, by panu przedstawić nadzieję muzyki moldawskiej. Zanim podano herbatę, do- wiedziałem się, że ojciec dzie- wczynki Dmitru Fusu jest ak- torem, poetą i reżyserem fil- mowym, matka Maria Fusu jest znaną malarką. Anna Maria zasiada do pianina. Gra najpierw utwory ludowe, potem własne kompo- zycje. Jej świat wyobraźni jest jeszcze dziecięcy, ale muzyka brzmi wielce poprawnie. Za- pamiętałem dwa utwory: „Mol- dawianie wsiadają do pociągu” oraz „Poświęcenie dzieciom Mozarta”.

Widząc zdziwienie na mojej twarzy, pani Julia, kiedy dzie- wczynki poszły do domu, po- wiedziała:

— Ona jeszcze nie wie, że Mozart nie miał potomstwa, ale w jej świecie kompozytor tej rangi musiał mieć wszyst- ko. Anna Maria skompono- wała pierwszy utwór mając 5 lat! A Grigorij Vieru do jej muzyki napisał słowa. Zapew- niam pana, że znawcy traktu- ją utwory Anny Marii Fusu bardzo poważnie i przepowia- dają jej wielką karierę.

— A pani? — pytam. — Skąd u pani to zainteresowa- nie Anną Marią?

Pani Julia Sokółowska za- czyna opowiadać. Jej rodzice pochodzą z Polski (ojciec Po- lak, matka pół Polka, pół Niemka). Po ukończeniu szko- ly średniej studiowała na wy- dziale Teorii i Kompozycji Konserwatorium w Leningra- dzie. Pracę dyplomową pisała o Chopinie („O mazurkach Chopina”), doktorat o Karolu Szymanowskim, który jest jej najbliższy. O nim też opubi- kowała sporo artykułów w prasie radzieckiej. Kilka razy odwiedziła Polskę, o której mówi per „Ojczyzna”.

Obecnie pani Julia Sokół- ska pracuje w wydawnictwie „Literatura i Sztuka”, gdzie prowadzi dział muzyki. Dla- tego też, kiedy po raz pierw- szy usłyszała kompozycje An- ny Marii Fusu, od razu roz- toczyła nad nią kuratelę, wie- rząc, że oto ma przed sobą samorodny, wielki talent.

— Kiedyś — mówi pani Ju- lia — Grigorij Vieru zadzwonił rano do mnie i powiedział, że w nocy nie zmuszył oka, bo prześladowała go pewna me- lodia. Zaspiewaj mi ją, mówię. Zaspiewał. A ja szybko zapi- salałam, bo sam Grigorij nie znał. Okazało się, że to ładna melodia. I tak się to zaczęło: on mi śpiewał, a ja notowa- łam. Powstał z tego śpiewnik dla dzieci „Rośnij duży” z muzyką i słowami Grigorija Viera. Później podobny śpie- wnik przygotował dla dorosłych.

— A ludzie? Czy śpiewają jego pieśni?

— Ależ tak! Znamcy twier- dzą, że jego pieśń „Nasz ję- zyk” prędzej czy później sta- nie się hymnem narodowym Moldawii. Za oknem na dobre usado- wiła się noc. Należało wracać do hotelu. Pani Julia odpro- wadza nas i jakby się uspra- wiedliwiając, mówi: — Przykro mi, że nie mogę mówić po polsku, ale tu nie ma z kim, więc zapominałam nawet te słowa, jakich niegdyś nauczyli mnie rodzice.

La rewedere, Moldowa.

La rewedere — znaczy: do widzenia!

Pieśń dla dzieci Mozarta

EUGENIUSZ IWANICKI

szukiwaniu złota lub diame- ntów. Nie mogę przeto być gor- szy. W swojej wędrówce po Mołdawii także udało mi się natrafić na ślady Polaków, choć odległość od Dniestru do Wisły nie jest znowu tak od- legła, a i egzotyki mniej niż w przytoczonych na wstępie przypadkach.

PANI KOZŁOSKA

Chcę publicznie przyznać się do pewnej ułomności: otóż lu- bie zwiedzać cmentarze. Mogę godzinami chodzić wśród gro- bów odczytując napisy na ply- tach, oglądać grobowce, sled- zieć na ławeczce i słuchać ciszy. Ot, nieszkodliwa dewia- cja psychiczna i tyle. Dlatego też będąc w Kiszyniowie „za- liczyłem” kilka tamtejszych cmentarzy, z cmentarzem „Or- miańskim” włącznie, który jest największy w mieście. „Or- miański” — bo jest usytuowa- ny przy ulicy Ormiańskiej.

Jestem więc na cmentarzu. Różni się bardzo od naszych: wysokie ogrodzenia z metalo- wych prętów, ale bardzo za- rośnięte: trawa i kwiaty pną się niemiłosiernie ku górze. Pełno tu drzew i w lasie cmentarz jest parkiem pełnym chłodu i spokoju. O jego kolory- cie stanowią jednak popier- sia dostojnych zmarłych. Jeśli za życia ktoś był np. geogra- fem, to obowiązkowo wyrzeź- biono go z wzrokiem przenikli- wie skierowanym w dal i z ręką na globusie, jeśli genera- łem — to cały w medalach, z dumą i marsem na twarzy.

I nagle — wśród tych postu- mentów, czerwonych gwiazd i krzyży — napis: Franciszka Kozłowska. Po polsku.

— Tu jest błąd — mówię do towarzyszącej mi Jelizawie Zacharownej, mojej opiekunki z ramienia Związku. Pisarzy ZSRR, która zna trochę język polski.

— Nie widzę — odpowiada po rosyjsku.

Zaczynam tłumaczyć. Bez- wiednie przechodzę na polski, mówiąc, że w nazwisku braku- je litera „w”. Powinno być: Kozłowska.

Trzy kobiety, które pracow- ły przy tym grobie, wstają szybko i podchodzą.

— O, Boże! — woła najstar- sza. — Pan mówi po polsku?

— Jestem z Polski. Ale dla- czego Kozłowska a nie Kozłow- ska?

— Litera wycinał Mol- dawianin nie znający alfabetu ł-

wiają, oczy napętlają się lza- mi.

— La rewedere — mówi na- gle po mołdawsku.

— Do widzenia — podpowi- dam po polsku.

KSIĄDZ OTTO

Wiedząc, że w Kiszyniowie jest katolicki kościółek i tak zwany polski cmentarz które- goś deszczowego — rzadkość tu nieziemna — popołudnia zja- wilem się za wysokim murem otaczającym miejsce wiecz- nego spoczynku katolików. Sam kościółek jest nowy, z XIX wieku, pod wezwaniem Matki Boskiej Anielskiej.

Trafiam na wieczorne nabo- żeństwo. Wewnątrz dziesięć kłęczących i modlących się ko- biet. Przed ołtarzem trzy na biało ubrane dziewczyny z wiankami na głowach i welo- nami spływającymi na plecy. Wstuchuję się w słowa modlit- wy: odmawiają po łacinie do Matki Boskiej. Po litaniu.

Chwilę wyprzedzam się skro- mnemu wyposażeniu kościółka, jego niemal ascetycznemu wy- strojowi i wychodzę.

Dogania mnie ksiądz: młody, w wysłużonej sutannie, trochę nieśmiały. Pyta po rosyjsku czego chce. Odpowiadam po polsku. Niestety, ksiądz nie ro- zumie.

Tak więc ksiądz odprawia- jący nabożeństwa w polskim kościele i ja, Polak, rozmawia- my ze sobą po rosyjsku. Mówi, że wybiegł za mną, gdyż je- stem pierwszym mężczyzną, który tu się zjawił. Przycho- dzą jedynie kobiety. Owe mło- de dziewczyny są z polskich rodzin, ale gdy tylko wyjdą za mąż, więcej się tu nie pojawiają. Polaków z roku na rok ubywa, co go martwi najbardziej.

— Jestem Niemcem — mówi ksiądz. — Mam na imię Otto. Pochodzę z Kazachstanu, gdzie moi przodkowie osiedlili się na początku tego wieku.

— Czym się zajmują rodzi- ce?

— Ojciec jest kierowcą, ma- tka prowadzi dom. Jest nas dziewięćoro dzieci. Jesteśmy katolikami i mimo przeciwno- ści losu, wytrwaliśmy w tej wierze do dziś.

— Jak to się stało, że ksiądz trafił do seminarium?

— Zawsze marzyłem o służ- bie Bogu. Po ukończeniu szko- ły średniej i odbyciu służby wojskowej, pojechałem do Ry- gi, gdyż tam znajduje się se- minarium duchowne.

gdzie przychodzą Polacy ksiądz musi przecież odprawiać nabo- żeństwa po polsku?

— Tak, po polsku. Idzie mi trudno, ale nie mam innego wyjścia. Wygląda to tak: masa poranna i późniejsza — po pol- sku, zaś nabożeństwa wieczor- ne — po łacinie.

— Czy oprócz Polaków ktoś jeszcze przychodził na nabo- żeństwa?

— Trochę Ukraińców, trochę Niemców, czasami Ormian. Właśnie Ormianin — katolik był fundatorem tego kościoła.

— A jaką pomoc kościół w Rosji otrzymuje od Stolicy A- postolskiej?

— Rzym nam nie pomaga, my jesteśmy zdani sami na siebie. Nie jest lekko, wiernych jest mało, właściwie z roku na rok mniej ludzi przychodzi na nabożeństwa. Jesteśmy wyspą w morzu innych wiar oraz tych, którzy nie wierzą.

— Zapewne ksiądz zna słowo „pierestrojka”. Proszę powie- dzieć, czy ma to jakieś kon- kretnie znaczenie dla kościoła w ZSRR?

— Ogorne — odpowiada ksiądz Otto. — Teraz już nikt nie śledzi ludzi przychodzą- cych na nabożeństwa.

PANI JULIA

Zasiedzieliśmy się w miesza- niu poety Grigorija Viera, słuchając jego wierszy i pijąc wino domowej roboty. Nagle gospodarz jakby się ocknął:

— Zupełnie zapomniałem, a tam czeka na nas Julia Soko- łowska!

Spojrzałem na zegarek: mi- nęła dziesiąta wieczór.

— Trochę późno na składa- nie wizyt — mówię. — Tym bardziej kobiecie.

— Nic nie szkodzi, do Julii można iść o każdej porze dnia.

Idziemy w zapadającym zmroku, właściwie w nadcho- dzącej nocy, kiedy geografia uli- c i uliczek zlewa się w jedną arterię, a domy zaczynają być bliźniaczko podobne do siebie.

Pani Julia Sokółowska czeka na nas przed budynkiem.

— Dobry wieczór — mówi po polsku, ale akcent zdradza, że jest to dla niej język zupełnie obcy.

W domu — niespodzianka: dwie małe dziewczynki zrywa- ją się z krzesełek i patrzą na mnie trochę z ciekawością, trochę z wyrzutem.

— Ta starsza, to Anna Maria, ma 8 lat — mówi pani Julia — i nie tylko gra na

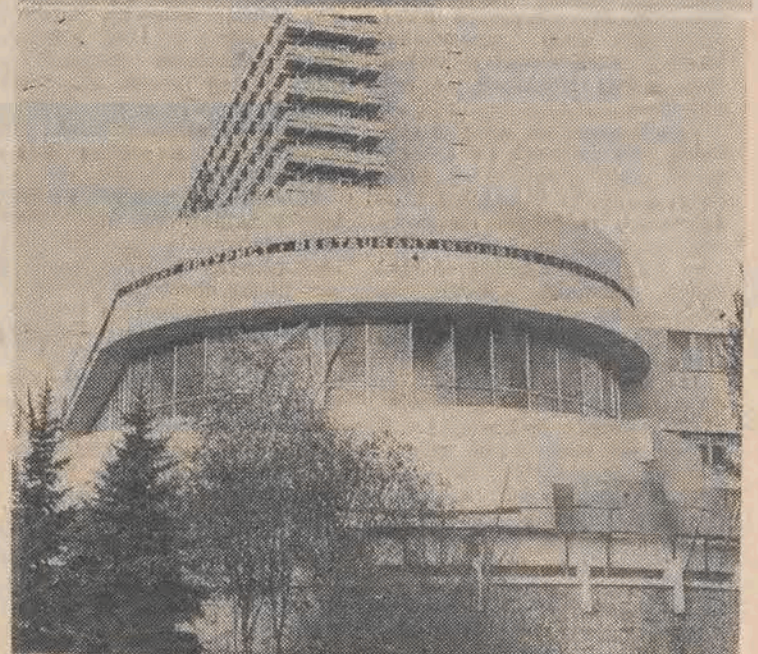


Foto: Grzegorz Galasiński

W trakcie przydługich tegorocznych wakacji, w czasie których miałem okazję znowu zobaczyć jakże przyjazną i bliską nam Jugosławię, stwierdziłem, że ludziom tam żyje się jednak coraz lepiej. Narzekają, rzecz jasna, a także, na inflację, biurokrację i inne przypadłości ich samorządowego systemu. Mają również na co dzień obywateli kraju znaną Dunaj i Sawy i inne poważne problemy, ale takich, jak niektóre nasze bolączki nie znają od dawna.

Po powrocie do Łodzi, trafił soraż, że było to w sobotę, chciałem dokonać zakupów podstawowych artykułów, i tu, od razu, nasza brutalna rzeczywistość handlowa poważnie zmieniła mi nastrój.

W moim sklepie chleba jeszcze nie było, mleko już „wy-

biło” zwał się w jego wielkie słowa. Mówił to z tak wysokiego trybunu, z której na pewno wszystko dobrze widać.

Jeśli nie złamamy, czy delikatnie mówiąc, jeśli nie rozmontujemy monopolistowskiej PSS, PHS czy „Ruch” to, nie w handlu się nie zmienią. Koncerny nader szybko dostosują instrumenty kolejnego etapu reformy gospodarczej do obywateli swoich „spółdzielczych” interesów. Tymczasem działalność ta winna zająć się obywateli z inicjatywą, handlowa głowa — jak to się mówi — a nie urzędnicy z załady czy biur tych niby-handlowych przedsiębiorstw. Potrzebne nam są na tym polu: dostatecznie silny, autentyczny ruch społeczny i nowa, na wskroś nowoczesna, ale służebna wobec potrzeb społecznych organizacja handlowa.

W tym kontekście zaskakujące

nad drzwiami wejściowymi może zdjąć przepaskę, która ma na celu ochronę oczu. I tak nie dojrzy co złe, a co dobre; tak tu ciemno i duszno!

W niewiele lepszym stanie są kamienice znajdujące się wzdłuż ulicy Gabriela Narutowicza. A gmach Collegium Anatomicum Akademii Medycznej, niedawno odnawiany od strony placu Dąbrowskiego, jest już w opłakanym stanie. Aż ciarki przeskakują skórę na myśl o ewentualnej zemście pomocy dydaktycznych z prosektorium znajdującego się za ścianą.

Wchodzę jeszcze raz na betonową płytę placu. Widzę że drzewka i krzewy tam rosnące są w marnym stanie. Liście okopcone jakby rosły nad ogniskiem!

Kto wpadł na szaleńczy pomysł urządzenia na placu Dąbrowskiego petli autobusowej,

nazwisko, znanym, jak zapewniła słuchaczy, konserwator, groźcą, w ogóle specem od rozmaitych instrumentów muzycznych.

Audycja uświadomiła mi, że bez pana Tadeusza (tak zwracała się do swego rozmówcy pani redaktor), tego synów i ich kolegów po fachu nie mogłaby normalnie grać żadna orkiestra ani w Filharmonii, ani w Operze czy w Operze. Ale nadio też wiele przykrych słów pod adresem organizatorów i urzędników (okazuje się, że i na tej działce mamy ich) z branży muzycznej. Z wypowiedzi Tadeusza W. jak to wynikało z całokształtu rozmowy, wiele zasłużonego dla łódzkiego środowiska muzycznego, przebiegała silna nuta żalu człowieka zapomnianego, niedocenianego, a może i lekceważonego przez Cech i liczne zwiaz-



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

5 listopada — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—16,

12 listopada — ANDRZEJ MAKOWIECKI — godz. 10—16.

Nietrudno zgadnąć, że sprawy mieszkaniowe należą do najczęstszych bolączek, na które uskarżają się nasi rozmówcy, korzystający z usług telefonu redaktora dyżurnego. A przy tym spotykamy się tu z wielką różnorodnością problemów.

I tak np. p. Mieczysław Skrzyński z ul. 22 Lipca w Łodzi mieszkający przez szereg lat wraz z rodziną w mieszkaniu zastępczym, ciasnym i bez wygod (a ma dwojkę dzieci), po licznych perypetiach, których nie będziemy tu szczegółowo opisywać, otrzymał wreszcie 28 września 1987 r. upragnioną decyzję na mieszkanie odpowiadające jego niewygórowanym wymaganiom, wpłacił więc kilkunastotysięczną wymaganą kaucję i szykował się już do przeprowadzenia niezbędnego remontu. A jednak p. Skrzyński ani się jeszcze nie przeprowadził, ani nawet do remontu nie przystąpił, choć zima za pasem, ponieważ do przydzielonego mu mieszkania przy ul. Gdańskiej 31 włamał się dziki lokator, podobno wyeksmitowany z poprzedniego miejsca.

Zdawałoby się, że wyeksmitować nielegalnego lokatora, który już ma za sobą jeden wyrok eksmisyjny, powinno być sprawą łatwą, ale jak dotychczas władze lokalne Polesia okazują się bezradne, a p. S. ma poczucie całkowitej bezsilności. Ze swej strony odradzałbym jednak panu Skrzyńskiemu wstawianie się do jakiegokolwiek upatrzoności lokalu, mam bowiem nadzieję, że znajdzie się w tej sytuacji wyjście zgodne z prawem.

Pan Wacław Chmielecki ze Zgierza, starszy wiekiem inwalida I grupy, po świeżych zawałach, prawuje się z sąsiadem z góry, który podobno chce go za wszelką cenę wyrzucić z mieszkania, które mieści się w domu poniemieckim zarządzanym przez ADM. Zali się na to, że niesłusznie przegrał sprawę o eksmisję w Sądzie Rejonowym, uzyskał co prawda uchylene wyroku w Sądzie Wojewódzkim w Łodzi, obawia się jednak wyniku ponownego rozpatrzenia sprawy. Nie piszę o tym szerzej, ponieważ była ona już komentowana w tej rubryce w numerze z 7 października 1987 r. Okazuje się jednak, że p. Chmielecki tego numeru „Odgłosów” nie przeczytał i jest rozczłony niezgodnym brakiem naszej reakcji. Mam nadzieję, że te słowa jednak p. Ch. przeczyta.

Naszym „dyżurnym” tematem staje się stopniowo sprawa niebezpiecznego zgierskiego gazociągu, ułożonego podobno już dwa lata temu i wymagającego tylko przeprowadzenia próby skuteczności, co w następstwie umożliwiłoby podłączenie mieszkańców oczekujących na moment radosnego odkrycia kurka. Jak się dowiadujemy na placu budowy pokreśliło się ostatnio kilku ludzi, którzy zniknęli bez wieści. Co więc dalej?

Pan J.B. — nasz długoletni stały czytelnik — funkcjonariusz MO głowi się wspólnie z nami, kto jest odpowiedzialny za uprzążanie chodników i jezdni na przystankach tramwajowych i autobusowych, zwłaszcza wokół tzw. wysepki, gdzie stale walają się śmieci, a zimą dodatkowo śnieg i błoto. Wystarczyłoby z pewnością miota i szufła, ale najpierw trzeba by ustalić, a może tylko żeby władze administracyjne przypomniały sobie, czy za porządek i czystość w wymienionych miejscach odpowiada MPK czy MPD?

Podzielałem również wątpliwość p. J.B., czy każdej instytucji w Polsce wolno wywieszać na swoich obiektach znaki oznaczające zakaz fotografowania. To co się dzieje wygląda nieraz na samowolę.

Jeden z byłych pracowników łódzkiego „Transbudu” z ul. Górniczej, który kilkanaście lat temu brał społeczny udział w budowie ośrodka wędkarskiego nad jeziorem Głuszyńskim (wcj. włocławskie — 120 km od Łodzi) niepokoi się tym, iż wzniesione tam składane domki, które czerwona tegoroczna wichura uszkodziła, niszczyją z powodu pogody i rozkładania pozostałości przez amatorów cudzej własności. Jak twierdzi nasz rozmówca, można było substancję budowlaną ośrodka uratować szybko i tanim kosztem, gdyby przystąpiono do dzieła wkrótce po pamiętnej wichurze. Było to jednak możliwe tylko pod warunkiem pomocy dyrekcji przedsiębiorstwa, ale na pytanie, czy ktoś się do dyrekcyi zwracał, nasz rozmówca odpowiedział nam, że nie wie tego na pewno. Wobec tego my prosimy Dyrekcję o zainteresowanie się ośrodkiem.

JERZY KWIECIŃSKI

Ośmielam się spojrzeć na naszą rzeczywistość krytycznie.

Czy tego nie można zmienić?

ALFRED LUTRYKOWSKI

„Zio”, ser żółty był wczoraj, jak mnie poinformowała — zdyszana biegiem do lady chłodniczej, a potem 20 metrów w drugą stronę do półki z kaszą — pani ekspedientka. Były płatki kukurydziane, makaron i sól. Także herbata była reprezentowana godnie. No i była przede wszystkim ogromna kolejka tych, co to się zaparli, że będą czekać „za chlebem”.

Ala nie samym chlebem człowiek żyje. Postanowiłem uświadomić się trochę, uzupełnić różnicę lukę w informacjach dotyczących naszych ważnych wydarzeń. W Jugosławii kilka razy czytałem i słyszałem różne wiadomości o naszych polskich sąsiadach. Teraz mogę sięgnąć cała garścią po wiadomości! Postanowiłem kućł prase sobotnią. Lubie bowiem poczytać sobie w sobotnie przedpołudnie. Zawsze człowiek się czegoś dowie.

Wreszcie zagłębiłem się w lekturę naszych partyjnych i bezpartyjnych organów, cieszyłem się kierując swe kroki w stronę najbliższego kiosku. Ale okazało się, że kiosk ten był zamknięty. Następny też, trzeci również. Ze złości zacząłem czytać wywieszkę informującą o przyczynach zamknięcia, ale nic z tego sensownego nie wynikało. Kółeczko odnaleziony przybytek handlowy szanownego „Ruchu” wyglądał jak porzucony przez właściciela wrak samochodu. Pewnie jakaś epidemia wybuchła wśród kioskarzy — pomyślałem.

Napotkanego na ulicy znajomego, który obnosił się z gazetą od nucha zapożyczoną, gdzie kupił szacowny dziennik z programem telewizyjnym na następny tydzień.

— Na Górniaku — odrzekł tonem człowieka, który wie, gdzie trzeba się udać. — Chłopcy biorą 5 złotych więcej, ale masz gazetę!

Jak to jest — myślałem — dlaczego na odległych peryferiach Belgradu można od świtu do późnej nocy kupić wiktualii, napoje różnych typów, nie mówiąc już o gazetach, którymi są dosłownie obłożone kioski i kioseczki.

Dlaczego tam przyjemnością jest robienie zakupów w sobotę, czy nawet w niedzielę? Aż dziwnie miękko robi się w okolicach serca, gdy wchodząc do najbliższego sklepu słyszy się „dzień dobry” uśmiechniętej ekspedientki. A u nas?

To zupełnie niezrozumiałe, że w naszym kraju nikomu właściwie nie oblała się handlować w sobotę, jak i to, że u nas wszyscy muszą mieć wolną sobotę i tylko sobotę! Wszyscy naraz! Myślę, że wszystkim winna jest daleko posunięta monopolizacja handlu. Dominują, a w zasadzie są jedynymi bohaterami placu wielkie w znacznym stopniu zdegradowane spółdzielnie obrosłe administracją i armią pseudodziałaczy, oderwane od klientów, a do tego pozostające poza wszelką kontrolą społeczną. One decydują o wszystkim.

Zdarzyło mi się kiedyś dowiedzieć, że ta niby-spółdzielczość już kilka razy uratowała socjalizm w Polsce. Mówił to pewien wysoki, spódniedzielczy szczebla działacz z trybunu spółdzielczego zjazdu. Nawet nie odważyłem się, żeby choć odro-

jest stanowisko moich kolegów i koleżanek — radnych z Komisji Zaopatrzenia Ludności i Ochrony Konsumenta Rady Narodowej Miasta Łodzi, którzy negatywnie zaopiniowali projekt uruchomienia sieci handlowej w centrum miasta we wszystkie wolne soboty. Opor przedsięwzięcia handlowych jest dla mnie zrozumiały. Znam dobrze te argumentacje: — „przecież w handlu też ludzie pracują i należy im się wolna sobota, jak wszystkim”. Ale radni wylali przysłowiowe dziecko z kąpielą! Odrzucili en bloc ministerialny program ożywienia centrów handlowych dużych miast w dni wolne od pracy. Przylaczli się do lamentów handlowców, którzy — jak pamiętam — zawsze biadali na malejące zapasy towarowe w magazynach oraz „uwarunkowania organizacyjne i kadrowe”. Dlaczego wydano taką opinię, nie wiem! Może lobby handlowe jest zbyt silne w tej komisji?

A przecież można było przychylić się do części do projektu centrów handlowych i wręcz napierać na uruchomienie no, sklepów spożywczych i to nie tylko w centrum. Wiemy wszyscy dobrze, a przede wszystkim ci, którzy zmuszeni są robić zakupy także w wolne soboty, czym są sobotnie kolejki, w jakim stopniu dolewały przyszłowiowej oliwy do i tak siarczystych i ognistych dyskusji, w których stan handlu jest tylko pretekstem. Ciekawy jestem, czym uzasadnia ci radni swoje stanowisko na spotkaniach z wyborcami?

W pełni podzielam poglądy, jakie wyrażany jest nie tylko przez sobotnich klientów sklepów różnych branż, że mnie nie muszą obchodzić „uwarunkowania organizacyjne i kadrowe” przedsiębiorstw handlowych. Tym martwić się powinni ci, którzy przecież nie zmusu są dyrektorami, referentami czy sprzedawcami w handlu.

Tak więc w ów sobotni dzień, a już wiedziałem, że była to już sobota, no po południu znalazłem się na placu Dąbrowskiego. Dawno tam nie byłem, więc z przyjemnością przemierzylem plac wszędy i wzdłuż. Kiedy minęła pierwsza radość z oglądania tego miłego zakątka naszego miasta uświadomiłem sobie, że nawet własne myśli słabo słyszę, taki tu łazot silników spalinywych. A słuch mam nie najgorszy. A ile tu spalin, czarne tumanów co rusz wzbijała się w powietrze. Swad jak w mglisty dzień w centrum Belgradu!

Spacerując obok Teatru Wielkiego zauważyłem, że strasznie poszarzał ten przybytek kultury. Od strony ulicy Sterlinga jest już wręcz czarna, tak został okopcony przez zatrzymujące się autobusy na usytuowanym obok przystanku. Z pięknych niegdyś ścian zaczynała odpaść płyta plaskowca. Wszystkie okna z zewnątrz wyglądały gorzej niż szyby domostw w Turoszowie.

Przechodząc koło gmachu Sadu Wojewódzkiego, jeszcze z czasów aplikacji, jaka kiedys tu odbywał, pamiętam, że budynek znajduje się pod ochroną konserwatora zabytków. Ale jak ten szacowny gmach wygląda dzisiaj?! Temida z płaskorzeźby umieszczonej wysoko

usytuowania tyłu przystanków MPK, zwłaszcza autobusowych? A przecież teren w pobliżu Dworca Fabrycznego PKS, na wprost ul. Sterlinga, jak mi się wydaje, jest wymarzoną miejscem na urządzenie, też w centrum miasta, takiego punktu komunikacyjnego.

Ciemna chmura nad Łodzią gestnieje. Dzieje się tak nie tylko za sorawą autobusów MPK. Widok błękitu nieba nad naszym miastem przesłaniają też skutecznie dymy z kominów elektrowni.

W którąś pogodną sierpniową noc, uirzawszy potrzebny warkocz pyłów emitowanych przez EC-II, telefonowałem do dyżurnego w kabinie Prezidenta Miasta pracownika tzw. dysuru. Poprosiłem go, aby zechciał przekazać te informacje Dyżurnemu Inżynierowi Województwa, a ten może spojrz na niebo, choć wiem, że każdy inżynier, zwłaszcza dzisiaj, powinien przede wszystkim patrzeć na ziemię.

Effekt interwencji przerósł moje najśmielsze oczekiwania... ale tylko co do blaskawiczego tempa, w jakim otrzymałem odpowiedź od dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii Urzędu Miasta Łodzi. W piśmie tym, Pan Dyrektor był łaskaw poinformować mnie o przyczynach nadmiernego zanieczyszczenia: zły skład otrzymywanego przez elektrownię węgla — 40 proc. części niepalnych, elektrofiltr obniżyły swa skuteczność o około 30 proc. Powiadomił mnie też o kłopotach ze znalezieniem wykonawcy, który podałby się modernizacji elektrofiltrów. Jeśli chodzi o wymianę tych urządzeń, termin prac ustalono na 1989 r.!

W związku z tym piśmem nasunęły mi się pewne pytania i wątpliwości. A więc, dlaczego Pan Dyrektor tłumaczy się za elektrownię, jakby usprawiedliwiał ją? Przyjmuje do wiadomości informacje, które mi przekazano, ale się z nimi nie zgadzam. Pana Dyrektora i kierownictwo EC-II chciałbym zapytać, co robi się jednak w celu wyrażnej, zdecydowanej poprawy ochrony powietrza w Łodzi? Wiadomości, które nieraz dostaję się w moje ręce, z legalnych zapewnień źródeł, co tu ukrywać, przerażają mnie. Wreszcie, czy trzeba czekać z remontem na rok 1989? Czy musi to robić jakiś kolejny monopolista? A może w Politechnice Łódzkiej znajduje się „moce wykonawcze”?

Aleksander Dumas (syn) w swym znanym utworze literackim, który stał się nawet kanwą libretta opery noszącej młot brzmiący tytuł „Traviata”, napisał: „oczywiście chcę wysunąć wielkich wniosków z małej sprawy nie może wydać się zuchwalsstwem z mojej strony. Jednakże należy do tych, którzy sądzą, że wielkie mieści się w małym”.

Pewnego wieczoru chciałem na swoim kuchennym odbiorniku radiowym znaleźć jakiś interesujący stację. Jężdząc tak po skali zlanym łódzka radiostacji nadająca akurat program lokalny. Zaczynała się audycja redaktora „Anny Kolasy pod dzwiecznym tytułem „Spod znaku kamertonu”. Autorka rozmawiała z Tadeuszem Wichlińskim, jeśli dobrze pamiętałem

Dom Mody Przemysłu Odzieżowego

telimena

w Łodzi, ul. Jaracza 52

zatrudni

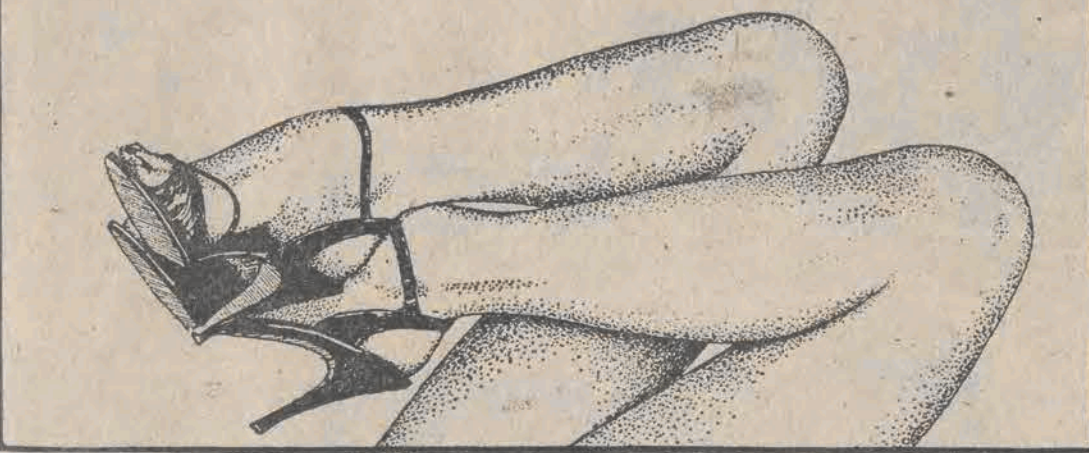
do pracy w charakterze prezenterek odzieży damskiej dziewczęta od 18 do 24 lat

WYMAGANE WYMIARY:

- * Wzrost: od 170 cm do 176 cm
- * Obwód biustu: 88 cm
- * Obwód bioder: 96 cm
- * Obwód talii: 70 cm

Wstępny przegląd kandydatek na modelki odbędzie się w dniu 18 listopada 1987 r. o godz. 10, w sali widowiskowej Politechniki Łódzkiej (Społeczny Dom Studenta) w Łodzi, al. Politechniki 3A.

6381/k



Mielismy małe spotkanie towarzyskie. Omówiliśmy już wszystkie ważniejsze sprawy i ktoś zaczął opowiadać o obozach dla młodzieżowej awangardy. Chwalił pomysł.

— Przecież będą to ludzie, którzy na początku przyszłego wieku wezmą stery ważnych dziedzin życia w swoje ręce — dowodził. — Muszą być do tego dobrze przygotowani. Jak awangarda to awangarda!

— Jak ja byłem młody — wtrącił się dziadek.

— Wiemy, wiemy — przerwałem — ale to było dawno i czasy były inne.

— Zgoda — przystał dziadek pojednawczo — czasy były inne, inni ludzie, inne obyczaje. Wszystko było inne. Ale my też jeździliśmy na obozy.

— I co? Pewnie to też były inne obozy?

— A żebyś wiedział — nie ustępował dziadek — inne. My nie przyjeżdżaliśmy na gotowe. Taki obóz trzeba było rozbić samemu, wszystko urządzić, sami gotowaliśmy sobie posiłki, w nocy stało się na warcie. Zmiana była co dwie godziny. Najgorzej było nad ranem. Pamiętam raz... — rozmarzył się dziadek, ale mu brutalnie przerwałem.

— I co z tego wynika?

— Wynika z tego bardzo dużo. Przede wszystkim to — nie ustępował dziadek — że taki młodzieniec uczył się polegać na sobie, na własnych umiejętnościach. To mu się później w życiu przydało. Choćby w wojsku...

— Dziadku! Ale czy ty nie rozumiesz, że to były zupełnie inne czasy, że dziś jest daleko posunięty podział pracy i zupełnie nie ma potrzeby, żeby każdy umiał wszystko. Byłoby to zresztą dziś niemożliwe. Na przykład nie wszyscy muszą się znać na komputerach.

— Masz rację — powiedział dziadek. — Ale czy nie zdarzyło ci się spotkać w życiu takich nieudaczników, którzy nie potrafili nawet gwoździć wbić w deskę, żeby sobie palca przy tym nie skaleczyć. To jedno. A druga sprawa, to potrzebne są jakieś umiejętności spędzania wolnego czasu. Może powiesz mi drogi wnuku, dlaczego telewizyjni reporterzy nowych ministrów pytali, jakie mają hobby? Czy tylko dlatego, aby tych wysokich urzędników ucziłowić? Myślę, że chyba nie tylko. Moż-

1

Pod prąd

Oszczędność na co dzień

Zniechęcony niepowodzeniem pierwszego, a przedstawiony duchowi drugiego etapu reformy gospodarczej, postanowiłem wykonać obywatelską postawę i od dzisiaj żyć skromniej, zaciśnąć pas, czyli oszczędzać, co się tylko da. Wyszedłem z założenia, iż dzięki temu prostemu zabiegowi uniknę awarii i dwie pieczenie przy jednym ogniu, to znaczy: i duch będzie za mnie zadowolony, i ja co miesiąc łatwiej dotrąm do wypłaty. Wziąłem przeto zapisa- na już po jednej stronie kartę papieru, stary ołówek i wyno- towałem sobie, na czym to mia- nowicie bym najszczęśliwiej zo- szczydził.

Na pierwszej pozycji zna- la się żywność. Na pewno mógłbym wydawać na nią co najmniej tysiąc złotych mniej — pomyślałem — kupując w miejscie szynki kielbasę cienką numer trzy (po smaku nie roz- różniał gatunków), w miej- sce mleka pełnotłustego — mie- ło z wodą, papryki — kwaszo- ne ogórki, masła — margarynę „Słoneczną”, itd. Postawiłem więc obok żywności plusik, ale zaraz przyszło mi też do głowy, że nie jest to chyba jednak najlepszy pomysł, gdyż jedząc gorzej, mogę wpasć w anemię, stracić odporność na inne cho- roby, których leczenie potem kosztuje państwo i mnie, braku- nie mi sił do wydajnej pracy, a poza tym w sklepach i tak przecież „Słonecznej” nie ma. Nasz handel uparcie lansuje masło.

Pozycja druga — woda. Tyle się ciągle słyszy, że zużywamy zbyt dużo wody, że jej zapasy się kurczą, a koszty dostarcza- nia do mieszkań rosną jak grzy- by po deszczu... Słowem, mógł- bym nie brać kąpieli codzienne- nie, a — powiedzmy — dwa razy w tygodniu, przez tydzień chodzić w brudnych skarpet- kach... No tak, ale kto to zau- waży i doceni, jeśli nie mam zainstalowanego wodomierza, a opłatę pobiera się ryczałtem? Przecież to, co ja oszczędzę, mój sąsiad przepuści i to do- kładnie za te same pieniądze!

Skreśliłem zatem wodę, dopi- sując obok, że na razie i prze- szedłem dalej. Dalej był prąd. Prąd przechodził przez licznik, który rejestruje, iż zgasiłem wła- śnie złączkę żarówki, zamieni- łem prakę automatyczną na wirnikową, a odkurzac — na szczotkę na kiju, więc tu przy- najmniej sprawa jasna — dzie- ki mnie nie dojdzie zima do kolejnego kryzysu energetyczne- go, władze poruczą pomysł bu- dowy drugiej elektrowni pod Bełchatowem, zaś przemysł przez okragły rok będzie mógł pracować pełną parą. Nagle przypomniałem sobie jednak, że wyczytałem kiedyś w gazecie, iż stosowane w polskim przemy- śle technologie są na ogół dwu- , a nawet wielokrotnie e- nergochłonne niż w innych kra- jach i postawiłem proste py- tanie: dlaczego ja za parę zło- tych rezygnowałem mam z kom- fortu, skoro w sferach przemy- słowych nikogo to nie obchodzi, a koszty marnotrawstwa i tak zawsze wkalkulowane są w ce- ne towarów? O, nie ma głup- ich! I skreśliłem również prąd.

W chwili później skreśliłem książki, co przyszło mi tym la- twiej, że od pewnego czasu już ich nie kupuję. Skreśliłem ka- wę, której nie ma w sklepach, alkohol — bo już dawno mnie nie stać na więcej niż butelkę „Czystej” z okazji imienin, co usłudzone jest tradycją, a tak- że — papierosy, bez których mógłbym nie wytrzymać ner- wowo robienia zakupów, zała- twiania sobie urzędowych (mi- mo reorganizacji centrum, któ- re — jak wiadomo — jest w Warszawie, czyli daleko) tu- dzież czytania PAP-owskich sprawozdań z wywiadów tele- wizyjnych z członkami rządu.

Co mi pozostało? Myślałem dosyć długo i wymyśliłem — pieniądze! Mogłbym oszczędzać pieniądze, chociaż — jak pra- wie wszyscy — uważam, że do- staje ich jakby trochę za mało. Ale co zrobić — kryzys, prze- waga popytu nad podażą i u- noszący się nad krajem duch drugiego etapu reformy. Jeżeli

więc nie mogę więcej zarabiać, powinienem zaoszczędzić. Tyl- ko jak?

Wkładać pod pościel w sza- fie? Nie, to już przeżytek i ceny wciąż idą w górę. Zainwesto- wać? Gdzie? Jako „pracownik państwowy” nie mam żadnych możliwości. Wpłacać na ksa- łeczkę PKO? Także nie. Do szkoły przecież chodziłem i po- trafile obliczyć, że sześć, a na- wet dziesięć procent odsetek rocznie, to jednak mniej niż dwadzieścia parę procent infla- cji. Co zatem zrobić z zaoszcze- dzonymi pieniędzmi? Jak nie stracić na tej oszczędności?

Niestety, nic sensownego nie przyszło mi do głowy. Liczę na pomoc Szanownych Czytelnik- ów. Może ktoś zechce podzie- lić się ze mną jakimś dobrym pomysłem?

JÓZEF RETMAN

2

Lewym okiem

Festiwal piosenki przy goleniu

W mieście Z. postanowiono włączyć się w wielki prąd u- masowienia kultury młodzieżo- wej. Miejscowa Rada Kultury, po długich i ciężkich namy- ślach zdecydowała, że najlepiej będzie zorganizować festiwal piosenki. Namyślić były długie i ciężkie nie dlatego, że w mieście Z. brakuje talentów organizacyjnych i energicznych działaczy, że jak wszędzie nie przelewa się z fundusami, ale głównie dlatego, że trudno by- ło znaleźć atrakcyjny temat.

Amfiteatr powstał częściowo w czynnie społecznym, części- wo drogą odkomenderowania do jego budowy dwóch czy trzech miejskich przedsię- biorstw budowlanych. Bazę no- legową dla spodziewanych go- ści znalazłono w mieście wstrzymując lekcję w paru szkołach oraz wyprowadzając żołnierzy z koszar na ćwicze- nia w teren. Prawdziwy hotel w rynku został oczywiście za- rezerwowany dla gwiazd ma- jących uświetnić festiwal. No ale temat.

Były już festiwale piosenki żeglarskiej, turystycznej, har- cerskiej, strażackiej, przed- szkolnej, aktorskiej, górskiej, morskiej, leśnej, rzecznej — coż więcej wymyślić? Ale je- dnak wymyślono. Był to festi- wal piosenki przy goleniu.

Były wątpliwości czy znaj- dzie się dostateczna liczba kandydatów — młodzi ludzie przecież się nie golią. Okazało się jednak, że napływ jest du- ży, młodzi ludzie ogolili się specjalnie dla wzięcia udziału w zawodach, dowodząc jeszcze raz, że kariera śpiewaka jest jedną aprobowaną przez mło- dzież. Nie zgłosili się dziew- częta czegoś nie z organizato- rów nie przewidział, było za późno żeby się wycofać. W ry- nku obok hotelu posiano już łubin i zbudowano studnię z żurawiem — tak zażądał pe- wien zagraniczny gwiazdor, którego stryjeczny dziadek był Polakiem i on sam umiał po- wiedzieć po polsku: „dziękuję bardzo, kocham was”. Swój przyjazd uwarunkował tym, że chce mieć za oknem hotelu wi- dok taki, o jakim opowiadał mu stryjeczny dziadek: łubin i studnię z żurawiem. Przebu- dowano też od góry do dołu hotel, bo gwiazdor przyjeżdżał z całą rodziną nie wyłączając ciocięcych ciocię.

Nie przeszkodził imprezie rzęsiły deszcz, przerwały ją tylko kilkanaście razy awarie reflektorów, mikrofonów, na- głośniaczy i konferansjerów. Impreza odbyła się, nagrody rozdano. Pierwszą uzyskała piosenka zaczynająca się od słów:

„Ja bimbam ten zastany świat
do nie mi nie dał ucale on
i tylko gołę brodę swą
i po co to i na co to
i po co to i na co to...”

I tak ostatnie zdanie trzydzie- ci sześć razy. Laureat, młody artysta z Serocka śpiewał tę piosenkę z wielkim zaangażo- waniem, klękał, stawał na głó- wie, deptał gitarę, zrywał z siebie koszulę i nawet zaczął rozpinać spodnie, ale coś so- bie przypomniał i zapiał się z powrotem. Gest ten przyjęty został wybuchem frenetycznej owacji przez młodą, nieprzy- tomną z zachwytu widownie. Po występie artysta udzielił wywiadu.

— Jak się nazywasz?

— Jan Kobylka.

— Lubisz śpiewać?

— Gdybym nie lubił, to bym się nie golił sześć razy na dzień.

— Uważasz, że co?

— Uważam, że w naszym kraju nie docenia się piosenki przy goleniu. W takich cza- sach kryzysu wszelkich warto- ści potrzebuje jest rozśpiewa- nie w rozmianianiu, potrzebny jest oprócz piżamy i żyletki jeszcze ten jakiś taki dźwięk, ta radość życia, prawda, oczy- wiście, wydaje mi się.

Festiwal skończony, piosenka poszła w świat. Pochwalił ją młody redaktor w telewizji, mówił przy tym bardzo szybko i po angielsku. Któraś tam z rządu dama polskiej piosenki, recytując występy swoich ko- leżanek i kolegów na antenie radiowej, powiedziała o Jaszu Kobylce:

„Jest jakiś taki dobry, jego piosenka jest jakaś taka, peł- na czegoś takiego, no nie wiem, jest ładna, można ją śpiewać albo nie...”

Od siebie dodajmy, że moż- na też urządzać festiwale albo nie. Publicyści festiwalowi, które to specjalności poświę- ciła się spora grupa dorosłych przecież ludzi, mogliby od bie- dy przestawić się na coś in- nego, zwłaszcza w dobie refor- my. I żebyż to chodziło przy- najmniej o piosenki jakiegoś- ła nadające się do śpiewa- nia!...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Ile jeszcze jest pięknych koncepcji

1.

Sytuacja, w jakiej znalazła się polska piłka nożna jest wi- doczna jak na dłoni. Można by- łoby powiedzieć: — jaka jest piłka nożna, każdy widzi. A mi- mo to powołano grupę eksper- tów, aby stwierdzili. Pytanie tylko, co mają stwierdzić? Na to pytanie może być kilka od- powiedzi. Pierwsza — że jest źle, co już w założeniu wiado- mo. Druga — dlaczego jest źle i tu występują różne poglądy. Nieraz sprzeczne. Trzecia — że wcale nie jest źle, tylko nam się tak wydaje. Z takim poglą- dem wystąpił ostatnio Paweł Zarzeczny na łamach tygodnika „Piłka Nożna” w artykule pt. „Spojrzenie całkiem odmienne”.

Powiada on, że piłkarze bar- dzo chcą, ale nie potrafią, bo nikt ich tego nie nauczył. Na- tomiast my wynieśliśmy wyo- brażenia o ich możliwościach tak wysoko, że aż oderwaliśmy się od rzeczywistości. A że dzieje się we wszystkich dzie- dzinach życia i w sporcie nie może być inaczej. „Co nam po- zostaje dziś?” — pyta Piotr Zarzeczny i odpowiada. — „Przyzwyczaj się do tego, co mamy? Jesteśmy piłkarsko bli- żej Małty i Cypru niż RFN i Holandii! Trzeba to zrozumieć, mimo wszystko kochać piłkę i

cieszyć się drobiazgami, sukce- skami, pojedynczymi, miłymi zwycięstwami słabszy z mocny- mi. My wcale nie dlatego zbie- ramy ostatnio baty, że piłkarze nie chcą dobrze grać, piła go- rzała i liczą pieniądze za pozo- rowaną grę. Oni są najnormal- niej i po prostu słabsi od in- nych piłkarzy. Zarazem tak sa- mo słabi, jak my wszyscy”.

Jeśli przyjąć taki punkt wi- dzenia, to prezes Zbigniew Ja- błoński powinien rozwiązać gru- pe ekspertów, odesłać Kazimie- rza Górskiego na zastępcę od- poczynek i wygłosić przy naj- bliższej okazji piękny re- ferat o malutkich, mi- lutkich sukcesach polskich pi- łkarzy, których to sukcesów zresztą nie ma. Dostaliśmy ba- ty od braci Czechów i Słowa- ków, od piłkarzy olimpijskich RFN, od Duńczyków i Holo- ndów. Leje nas kto może i lać jeszcze będzie. Piłkarze mistrza Polski, Górnik Zabrze zade- monstrowali w spotkaniu z dru- żyną Rangers z Glasgow bezra- dność, nieudolność i duże braki w wyszkoleniu. Wymieniano nas z eliminacji do mistrzostw Europy, i z turnieju olimpij- skiego i nie — jak do tej po- ry — nie wskazuje, abyśmy mo- gli wygrać, eliminacje do mi- strzostw świata. Ale niektórzy takiej rzeczywistości starają się nie dostrzegać i proponują nam rezygnację z ambicji i na- dziei. Czyż rzeczywistość nie ma w Polsce młodych ludzi, których można byłoby nauczyć dobrze grać w piłkę nożną?

2.

Sytuacja, w jakiej znaleźli się wodzowie PZPN przypomina mi słyszany dość już dawno do- wcip o Żydzie, który hodował kury. Pewnego dnia kury za- częły mu zdychać. Poszedł po- rade do rabina. — A czym ty karmisz te kury? — zapytał rabin.

— Czym się da — odpowie- dzał hodowca.

— To ty źle robisz — powie- dział rabin — ty karm je psze- nicą i przyjdź za trzy dni.

— I co z tymi kurami? — za- pytał rabin, gdy hodowca przy- szedł do niego po trzech dniach.

— Zdychały — jęknął hodow- ca.

— A co ty im dajesz pić? — zapytał rabin.

— Jak to co, wodę ze studni.

— To ty źle robisz — powie- dział rabin — ty dawaj im nie- wodę gotowaną. I przyjdź za trzy dni.

Potem jeszcze było żyłb, o- so, owies, ale kury nadal zdy- chały. Gdy po kolejnych trzech dniach hodowca przyszedł do rabina ten zapytał:

— I co z tymi kurami?

— Zdechły już wszystkie — westchnął hodowca.

— Oj, jaka szkoda — zmar- twił się rabin — ja miałem ie- szcze tyle koncepcji.

Wprawdzie polska piłka no- żna jeszcze nie umarła, choć jest już poważnie chora i do zro- zu nie tak znowu daleko, to mo- żna jeszcze mieć wiele różnych wspaniałych koncepcji. Rzecz w tym, że prezes Zbigniew Ja- błoński i jego ekipa uważają, że koncepcja, którą wymyślił jest najlepsza, najwspanialsza i jedyna. Oto, co powiedział prezes Zbigniew Jabłoński a za- notował Marek Latasiewicz z krakowskiego „Tempa”.

— To, co nastąpiło, nie jest jednak klęską koncepcji czy ca- łej strategii, lecz jedynie efek- tem błędów w ich realizacji...

Być może potrafimy wy- głądać wspaniałe koncepcje, ale w ich realizacji jakoś zawsze przy- trafiają nam się błędy. Pech albo co? A może po prostu te koncepcje nie są najlepsze? Czy taka myśl nikomu nie przyszła do głowy w Polskim Związku Piłki Nożnej? Jeśli nie ma kto kształcić przyszłych piłkarzy, o czym zgodnie mówią wszyscy trenerzy, bo im się to nie o- plac... Jeśli poziom meczów li- gowych jest niekiedy skandaliz- czynny, jak to było nie tak da- wno z Lechem Poznań... Jeśli zezwala się na transfery w „szczególnych przypadkach”, mi- mo zakazu transferów poza listą transferową, jak to było w przypadku Roberta Warzychy... Jeśli...

Każdy kibic jest w stanie dopowiedzieć inne przypadki niekonsekwencji. Czy taka kon- cepcja i strategia jest dobra? I tym pytaniem połączam Drogich Czytelników do nastę- pnego tygodnia. Każdy ma czas pomyśleć i dać właściwą odpo- wiedź.

BOGDA MADEJ

Dziadek w awangardzie

na tu byłoby sparafrazować znane powiedzenie: powiedz mi, jak spędzasz wolny czas, a powiem ci, kim jesteś. Na takim obozie, na którym wszystko zależy od ciebie, możesz też nauczyć się pozytywnie spędzać wolny czas. Bo to jest i będzie coraz ważniejszy problem.

— Więc, co dziadku proponujesz dla tej awangardy?

— Nikt mnie nie pytał o zdanie, ale skoro już to uczyniłeś, to odpowiem nie wprost. Otóż — moim skromnym zdaniem — największy błąd popełnia się w wychowaniu młodego pokole- nia, chcąc młodzież uszczęśliwić na siłę. Nikt się jej nie pyta, czego ona chce? Jak chce spędzać wakacje? Ale w myśl na- szych — ludzi już najczęściej ukształtowanych — wyobrażeń i wspomnień z przeszłości próbuje się młodym tak urządzić czas, aby to nas satysfakcjonowało. A po co? To przecież chodzi o nich, nie o nas. Dlatego przede wszystkim zapytałbym ich sa- mych, jakie mają zainteresowania i jak chcą je spożytkować? Od tej odpowiedzi uzależniłbym dalsze działania.

— A jak się okaże, że nie mają żadnych zainteresowań?

— Nie sądzę — powiedział dziadek i stracił zainteresowanie dla dalszej rozmowy.

W jakiś czas później miałem okazję wrócić do tematu w innym już składzie. Opowiedziałem wówczas o dziadkowych uwagach. Ku mojemu zdziwieniu wzbudziły one duże zainte- resowanie. Okazało się, że wcale nie trzeba koniecznie amusać młodych do samodzielnego robienia namiotów — jak to drze- wie było — ale trzeba spytać ich o zdanie. I tak w rozmó- wie ludzi zainteresowanych sprawami wychowania narodził się następujący pomysł.

Mamy w Łodzi dużą grupę przodującą młodzieży, która bra- ła udział w obozach Awangardy XXI wieku w Płocku i Zale- czu Wielkim. Młodzież ta wywołała bardzo różne wrażenia z tych obozów, i dobre, i gorsze, a być może i złe. Rzecz jednak nie w tym. Chodzi mianowicie o to, aby młodzież ta mogła się nadal spotykać, aby w 1988 roku latem mogła również wyje- chać na obozy i aby te obozy były bardziej udane. Jak to zro- bić?

Ano właśnie wedle dziadkowego sposobu. Trzeba inicjatywę oddać w ręce samych młodych. Niech zdecydują, jakie im od- powiedzą sprawy, jakie mają zainteresowania i czym chcieliby się zajmować. A wychowawcy powinni im służyć radami i pomocą. Jakże są możliwości?

Mógłbym powiedzieć — szerokie. I byłaby to prawda, ale bardzo ogólna. Popatrzmy więc jak to wygląda na konkretnym przykładzie. Mamy w Łodzi słynną nie tylko w Polsce szkołę filmową. Otóż ta szkoła filmowa oferuje młodym możliwości bardzo różne. Po pierwsze — zainteresowanie się historią filmu. Po drugie — teatrem i współpracę ze szkolnym teatrem wraz z dyskusjami i tak dalej. Młodzi interesujący się powa- żnie teatrem mogliby nawet podjąć się różnych inscenizacji. Po- dobnie rzecz ma się z filmem. Nie tylko zainteresowanie bierne, ale na przykład jest możliwość zrobienia filmu wideo. Trzeba się tylko na coś zdecydować.

Inny przykład. Są w Łodzi różne uczelnie i towarzysza- wa naukowe. One również mogłyby przyjąć młodym z fachową po- mocą. W zależności od zapotrzebowania. Interesującym się dzien- nikarstwem można byłoby nie tylko umożliwić poznanie Cent- rum Prasowo-Telewizyjnego, ale też pomóc w zrobieniu na przykład obozowej gazety. I tak dalej, i tak dalej.

Jak z tego widać są duże możliwości i bardzo różne. Mogą to być spotkania z wybitnymi fachowcami z różnych dziedzin życia politycznego, kultury, nauki, ale mogą to też być samo- dzielne prace młodych pod fachowym kierunkiem i opieką. Oferta jest szeroka i bogata. Istota tej oferty polega na tym, że — zgodnie z tym, co mówił dziadek — nie można młodych uszczęśliwiać na siłę. Trzeba im tylko pomóc w robieniu tego, na co sami mają ochotę i co może się okazać dla nich i dla społeczeństwa w przyszłości pożyteczne.

Gdy znowu spotkałem dziadka i opowiedziałem mu o tym, jak zainteresowano się jego pomysłem, dziadek się ucieszył i powie- dział:

— No widzisz, nie wszystko, co było dawno i w innych cza- sach musi koniecznie być takie złe. Czasem warto posłuchać, co do powiedzenia mają ludzie starzy. Oni też czegoś się w ży- ciu nauczyli. I wy, choć żyjecie w innych czasach, możecie z tego skorzystać.

Trudno nie przyznać dziadkowi racji. I tak dziadek zapisał się do awangardy. Co z tego wyniknie, opowiem przy innej okazji.

LUCJAN BOGUSZ

Dagome iudex

5

Zbigniew Nienacki

— Zaczekaj ty, który mówisz w języku Spalów — krzyknął mu Dago.

Bojowym toporem, który miał u siódma Vindosa, naciął wierzbowych gałęzi i rzucił je przed siebie na bagno. Potem wyjął z juków linę i na owych gałęziach wierzbowych zbliżył się do uwiecznionego w błocie konia.

— Rzuć mi lejce — rozkazał. Przywłązał lejce do sznura, wrócił do Vindosa, wskoczył na jego grzbiet i nakazał ruszyć przed siebie, jednocześnie wyciągając za uźdę konia z jeźdźcem. Uwieczniony w bagnie wierzchowlec chrapał coraz głośniejsze, ale powoli przednimi kopytami stawał na coraz twardszym gruncie. Z cichym sykkiem uszło powietrze, które już go zdążyło wessać. Bagno jak gdyby z niechęcią oddawało swoją zdobycz. Jeszcze jeden ogromny wysiłek wierzchowca, jego chrapliwe stękanie i wreszcie wydołał się z błota. Oblepiony czarną mazią stanął na ziemi na chwilejających się nogach.

— Dziękuję ci, panie — powiedział młodzieniec, zeskakując z siódma. — Uratowałeś mi życie.

Nadjechał Herim i z odrobiną zdumienia popatrzył na uratowanego, na jego strój i uzbrojenie.

Nosił długie buty z cienkiej skóry, tak samo z cienkiej skóry zrobione spodnie, a na skórzanej kurtce miał pancerz ze srebrzystymi łuskami, na głowie hełm posrebrzany i na plecach podłużną tarczę pokrytą srebrną blachą. U pasa wisił mu miecz o długim i cienkim ostrzu, a na ramieniu tkwił luk o byszczących okuciach. Z tyłu ozdobionego srebrem siódma zobaczyli uczepiony płaszcz ze skórek bobra, którym się chyba okrywał na noc. Wojownik, sądząc po głosie, był bardzo młody, ale opatrzenie i pamioty do błota na twarzy nie pozwalały określić jego wieku. Miał szczupłą figurę i wysoki wzrost. Piękny się wydał Dagonowi jego wierzchowlec o długich nogach i czarnej sierści.

— Kim jesteś, człowieku, który mówisz w języku Spalów — zapytał Dago.

Wojownik wskazał rękami swoje usta, dając do zrozumienia, że brak mu tchu i musi odpocząć. Usiadł na ziemi i oddychał ciężko.

— Wiem kim on jest, panie — wturcił się Herim. — Czytałem w księgach, że za rzeką Wisłą mieszkają Agaraspido- wie, którzy noszą srebrne tarcze. Spójrz, panie, on ma właśnie srebrną tarczę. To oni przegнали kiedyś sławnego Aleksandra Macedońskiego, aż Aleksandrowi musieli odejść na południe i szukać zdobyczy u innych ludów.

— Zamilcz — burknął Dagon. — Chce to usłyszeć od innego Speta! nasze konie i przygotuj suchych gałęzi na ognisko. Tu będziemy nocować.

Coś w młodym wojowniku zastanawiało Dagona. Czuł jego bystry wzrok na sobie, lecz hełm tamtego zakrywał oczy. Odpoczywał, ale jego ciało wyrażało podejrzliwość. Być może chciał pewności, że nie ma do czynienia z wrogiem. Przecież chyba nie przypadkowo znalazł się samotnie wśród moczarów? Ktoś lub coś zapędziło go w tę dziką krainę.

Herim zdjął siódła z koni, rozsiadł też czarnego wierzchowca młodego wojownika. Spetał im nogi i puścił luzem, potem nabierał suchych gałęzi wierzbowych i rozpałił ogień. Zapadł zmrok, a wojownik wciąż nie ruszał się z miejsca, tylko tyle, że zdjął z ramienia swój luk i ledwo dostrzegalnym gestem wyjął strzałę z kołczanu. Mowa ciała tego człowieka zdawała się wskazywać, że leka się tych, co uratowali mu życie i w każdej chwili gotów jest do walki.

Dagon przykląkł i pocałował bagnistą ziemię, na której mieli spać.

— Co czynisz, panie? — zdumiał się Herim.

— Całuję matkę, która mnie urodziła i wykarmiła. Ziemia

może dać lub odebrać się człowiekowi. Kto jej okazuje szacunek i miłość ma prawo myśleć, że przeżyje noc spokojnie.

— To przecież czary. — Znam sztuki czarów, Herimie, i być może kiedyś i ciebie jej nauczę.

Zapadł zmrok i Herim u- przejmym gestem wskazał wojownikowi miejsce przy ognisku. Podał mu też kawałek chleba żytniego i na trzy części podzielił resztkę zapasu jedzenia, jaki jeszcze mieli ze sobą. Był to kawał wędzonej świniny.

— Ty, panie, uratowałeś mi życie — odezwał się wreszcie wojownik. — Tobie więc winien jestem pierwsze słowa. To prawda, że pochodzę z ludu Agaraspidów, którzy zamieszkują za rzeką Wisłą. Wyślano mnie z poselstwem do króla Goluba Popiołowłosego, ponieważ jesteśmy nekani przez Mardów i potrzebujemy pomocy. Ale w kraju Goluba żadnych praw nie uznają i wszystkich moich ludzi wybito, mnie zaś zapędzono aż na bagno. Powiadają, że Golub Popiołowłosey jest uwieczniony w wieży, a rządzi syn jego Aslak oraz wojownicy z Jumna. Ojcu Goluba okazaliśmy kiedyś pomoc, a teraz nam ona potrzebna. Niestety, na nasze poselstwo napadli Lestkowia, a to znaczy, że w kraju Landiców nie ma już porządku i praw się nie szanuje. Może zaś imię Zytiku, panie.

— Mówisz w języku Spalów — odezwał się Dagon. — Wojownik wzruszył ramionami.

— Z daleka musisz być, skoro wspominasz o Spalach. Oni żyją tylko w starych pieśniach. Językiem, który mówisz, jest językiem Spalów, władają tu wszystkie plemiona i ludy: Landici, Gopelani, Mazowianie, Lędzianie i my, Agaraspido- dzi, a także na południu Visulanie. Tym językiem mówi się u księcia Gedani i na całej północy, choć bardziej gardlowo i twardo.

Powiedział Dagon: — Jestem synem olbrzyma

Boży, urodzonym ze zwykłych kobiet. Pięć lat temu zginęła ta, która mnie wychowała, olbrzymka Zely. Wtedy zapadłem na chorobę zwaną żądzą czynów i ruszyłem w świat. Ta sama choroba kazała mi wrócić tutaj, aby dokonać wielkich czynów, a ty mi mówisz, że kraj Spalów istnieje tylko w starych pieśniach? Na imię mam Dago, ale nazywają mnie Piastunem. Ten zaś człowiek, który jest ze mną, ma na imię Herim i mówi językiem Sklavinów, ale w mowie Sorbów.

— Jeśli wszystkie ziemie, gdzie mówi się twoją mową, panie, nazywasz krajem Spalów, tedy jesteś w swoim kraju, choć Spalowie żyją jedynie w starych pieśniach — odrzekł wojownik. — Bagna się zaraz skończą i wejdziecie w kraj Landiców. Po lewo będziecie miał kraj Gopelanów, a za Wisłą Agaraspidów i Mazowian. Nigdzie nie spotkasz olbrzymów a raczej karłów. Lecz w wielu ludzich, podobnie jak w tobie, płynie krew Spalów.

— Czy chcesz, Zytiku, powiedzieć, że jestem człowiekiem bez ojcowizny? — zawołał gniewnie Dagon.

— A cóż to jest ojcowizna? — zapytał Zytik. — Jeśli mówisz prawdę, że jesteś synem olbrzyma Boży i wychowała cie Zely, tedy cały ten kraj jest twoją ojcowizną. Musiałbyś go jednak najpierw posiadać. Z ojcowizny wyrzuto nawet Goluba i rządzi tego ostatnia żona imieniem Helgunda, córka Hoka, choć mówią, że włada jego syn Aslak. Bo Aslak to przecież jeszcze dziecko, panie.

— Czy Golub Popiołowłosey nosi na głowie zaczarowaną przepaskę zwaną Andala? — zapytał Dago.

— Tak. Dlatego go nie zabito, tylko uwieczniono w wieży. Andali nie wolno zabrać siła ani też przelewając krew.

— Tedy on jest tu wciąż władcą zgodnie z wolą bogów — odwrócił się Dago.

— Powiadają, że kamień

Proponujemy oto czytelnikom kilka fragmentów pierwszego tomu najnowszej powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex”, traktując je jako zapowiedź tomu drugiego, który „Odgłosy” będą drukować w całości już wkrótce. „Dagome iudex” to swoistego rodzaju epos łączący w swojej fabule fantazję i historię, a właściwie zamierzającą prehistorię życia plemiennego na obecnych ziemiach polskich. Nienacki próbuje po swojemu zrekonstruować obraz tamtych odległych czasów i stworzyć nową mitologię początków polskości nad Wisłą. „Dagome iudex” to — z całym szacunkiem i dla Kraszewskiego, i dla Nienackiego — jakby współczesna wersja „Starej baśni”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Andali stał się mętny. Golub stracił rozum i władzę.

— Ten kto nosi na głowie Andale jest zawsze władcą — powtórzył z uporem Dago.

— W takim razie nie wiem, panie, w jaki sposób chcesz odzyskać swoją ojcowiznę. Musisz pokonać Helgundę i o- trzymać od Goluba świętą Andale. Inaczej nikt cie nie będzie szanował. Co do mnie, panie, pozwól mi wrócić do kraju Agaraspidów, gdyż mój luk i moje strzały mogą być potrzebne do walki z Mardami. Czy zgadzasz się, że przez jakiś czas będę ci towarzyszył? W trójkę łatwiej uniknąć niebezpieczeństwa.

— Mówiłeś, że potrzebujecie pomocy przeciw Mardom. Czego nie zwrócisz się o nią do Helgundy?

— Jakże to zrobić, skoro na głowie Goluba pozostaje święta Andala? Agaraspido- wie nie uznają władzy Helgundy.

— Uczynisz więc według własnej woli — rzekł Dagon. Wstał od ogniska i odszedł w ciemność, która zapadła na moczarach.

— Kim jesteś dla niego? — Zytik zapytał Herima. — Sługa czy przyjacielem?

— Nie wiem — odparł szczerze Herim. — Uratował mi życie, jak i tobie. I wędruję z nim tak jak ty chcesz wędrować. Mówi, że urodził się władcą.

O nic więcej nie zapytał Zytik. Nakrył się swoim bobrowym płaszczem i zaraz zasnął spokojnie, gdyż ów Dago, który uratował mu życie, od pierwszego spojrzenia obudził w nim dziwne uczucie spokoju.

Wrócił do dogasającego ogniska i okryty wełnianą opoń- czą położył się obok Herima i Zytika. A kiedy wczesnym rankiem obudził się, Zytik właśnie wracał od strony bagien, gdzie znalazł chyba jakąś kałużę. Jego skórzane buty i spodnie zostały starannie wytarte z błota, obmył też

twarz i aby zgubić opuchliznę od komarów natężył ją listkami mietły. Zobaczył Dagona delikatną, jeszcze bez zarostu, piękną śniadą twarz szesnasto- latka i że wzruszeniem pomyślał, że on właśnie w tym wieku zobaczył Druzo i ogarnęła go żądza czynów. Zytik był bez hełmu, jego długie czarne włosy podniósł z ramion lekki powiew wiatru, rozwiwający mgły nad moczarami.

Młodzieniec bystro przyjrzał się Dagonowi, który nie zdążył ogolić swoich policzków i wydał mu się raptem o parę lat starszy.

— Wczoraj widziałem cie innym, panie — powitał go Zytik. — Miałeś twarz pogodną, a dziś jak gdyby trawił cie jakiś ból.

Zytik zwrócił uwagę na tego niezwykle gęste, długie i przedziwnie białe włosy. Pomyślał, że Dago jest biały, a on Zytik — czarny; białego konia ma Dago, a on, Zytik czarne- go. Czy to było dobre czy złe wróżba?

— Siadaj — rozkazał mu Dagon — i podaj mi swoje dłonie.

Zytik stał się nieufny. Nie chciał jednak tego okazać, przykucał naprzeciw Dagona i patrzył mu w oczy, podał w jego szerokie silne ręce swoje drobne młodzieńcze dłonie.

Dagon w milczeniu i z wielkim napięciem patrzył w ciemne oczy młodzieńca, aż tamten skrył je za powiekami i wyrwał mu z rąk swoje dłonie.

— Nie lubię czarów, panie... Dago wstał, nie wypowiadając słowa ruszył w tym kierunku, skąd przybył młodzieniec. Znalazł kałużę wody, umył w niej twarz, zmieścił zarost wodą i ogolił go swoim ostrym nożem. Gdy wrócił, Herim wciąż jeszcze spał, a Zytik siedział obok, czujnie obserwując każdy ruch Dagona. Obok siebie miał teraz srebrną tarczę, miecz, luk i strzały.

— Jesteś dziś, panie, inny niż byłeś wczoraj. Dlaczego? — zagadnął go Zytik.

— Nie zadawaj mi żadnych pytań bez mojej zgody, chłop- cie — pogardliwie odparł Dagon. — Bo jeśli ja zaczę ci je zadawać, ty nie nadążysz z wy- myśleniem kłamstw.

Zytik podniósł się z ziemi. Gestem tak szybkim, że niemal niezauważalnym złożył strzałę na cięciwę luku.

— Zarzucasz mi, panie, kłamstwa — powiedział z obu- rzeniem. — A przecież powie- działem prawdę, że jechałem z poselstwem do Agaraspido- wów, napadnięto nas jednak i wszystkich moich ludzi wybi- to. Powiedziałem ci też praw- dę, że Golub jest uwieczniony, władzę ma syn jego Aslak, a w jego imieniu rządzi żona Goluba, kobieta z Jumna i jej wojownicy. Powiedziałem ci również prawdę, że Spa- lowie żyją jedynie w starych pieśniach.

Dagon uspokajająco podniósł swoją prawą dłoń.

— Odlóż ten luk, chłopcze, bo masz do czynienia z męż- czyzną, którego miecz zawsze dotad zabijał. Uwierzyłem ci wczoraj i wierzę ci dzisiaj. Ale oprócz mowy słów, znam także mowę ciała i mowę oczu. Dlatego nie zadawał mi żad- nych pytań bez mojej zgody, abym i ja ci ich nie musiał zadawać.

— Nie nazywaj mnie chłop- cem — znowu gniewnie o- świadczył Zytik.

Dagon wzruszył ramionami. — Dopóki nie zacznieś się golić, jak dorosły mężczyzna, pozostaniesz dla mnie chłop- cem. Odlóż ten luk. Nie zwy- kiem walczyć z chłopcami.

Podniesione głosy zbudziły Herima. Odezwał się poziewu- jąc:

— Odlóż ten luk, Zytiku. Widziałem jak Dago zabił smoka imieniem Szczek. Ma miecz, który zawsze uciną głó- wy jego wrogom.

— Nie jestem jego wrogiem — zawołał Zytik.

Herim, znowu ziewając, roz- prostowywał swoje kości.

— To oczywiście, Zytiku, że nie jesteś jego wrogiem. Prze- cież już od dawna byś nie żył. A potem, aby zmniejszyć nie- dzy, nim nastrój niechęci, rzekł Herim:

— Czy wiecie, że nie mamy już nic do jedzenia? Jestem głodny. Chce mi się pić, a wo- dy z bagien pić nie wolno. Co gorzej, śniła mi się w nocy piękna pachnąca wonnościami kobieta.

— Mogę w każdej chwili u- strzelić dziką kaczkę — o- fiarował się Zytik. — Ale kto po nią pójdzie na moczary?

— W drodze — zarządził Da- gon i poszedł do Vindosa.

Zebrał swoje rzeczy, zarzu- cili siódła na konie i ruszyli w drogę po naturalnej grobli między dwoma nieckami ba- gien. Rozwiali się noce mgły, słońce podniosło się dość wy- soko i ujrzel daleko ciemną linie lasów — znak, że jest tam suchy i twardy łąd. Ale musieli jeszcze przejsze mł- mulistą rzeczkę i dużą połą- c moczarów, porośniętych m- łodymi wierzbami. Dagon jechał pierwszy i ostrożnie kierował Vindosem, a wiedza o ba- gnach zdobyta w dzieciństwie na dworze Zely pozwalała mu uniknąć pułapek zgotowanych przez gruby kożuch rzęsy, kę- py sitowia i krzaki ledwo u- czepione topieli. Herim i Zytik jechali obok siebie tuż za Da- gonem.

— Śniła mi się dzisiaj ko- bieta, Zytiku — opowiadał He- rim. — Dagon, Pan i Piastun mówili mi, że najśladza jest władza. Ale dla mnie nie ma nic słodszy od młodej nie- wiasty. Czy miałeś kiedyś ko- bieta, Zytiku?

— Oczywiście. Przeżyłem już szesnaście lat — pochwalił się Zytik.

— Śniła mi się, Zytiku, że miałem urodziwą kobietę. Na- ga. Kragła. Pachnąca wonno-ściami. Ale ciągle ktoś mi prze- szkadzał, aby ją posiadać i na- sycić żądze. Dlatego boli mnie z głodu żołądek, ale jeszcze silniejszy ból czuję od nieza- spokojonej żądzy. Panie mój, Dago, Piastunie. Tyś dni wę- drujemy razem, ale ani razu

ani ty, ani ja, nie mieliśmy niewiasty. W Kraju Ludzi Wolnych, gdzie zabiłeś smoka, wiele było urodziwych kobiet. I patrzyły na nas lubieżnie. Dlaczego nie zatrzymaliśmy się tam, panie, aby którąś posiadać? Czy ty nie odczuwasz żądzi i jesteś z żelazą?

Nie usłyszał odpowiedzi od Dagona. Znowu więc zwrócił się do Zytika:

— Opowiedz mi, jaką miałeś kobietę i co z nią zaszaleś. — Wstydź się, panie — od- parł Zytik. — O takich sprawa- ch nie lubię mówić. Czy na- prawdę tak cierpisz od żądzi, Herimie?

— Tak bardzo, że gdy dosia- daliśmy konia i dotknęliśmy twoich pośladków, Zytiku, twardej i małych jak u mło- dziej kobiety, pomyślałem, że przecież i mężczyźni mogą ze sobą zażywać rozkoszy. To czynio- no powszechnie w klasztorze w Fuldzie, gdzie byłem mnichem. Co sądzisz o tym, Dago, panie? Czy widzisz w tym coś zdroż- nego.

— Zamilcz — nie odwracając głowy powiedział Dago. — Mó- wisz o sprawach, które budzą moje obrzydzenie.

Zytik roześmiał się trochę sztucznie.

— Mówisz po sorbsku, Heri- mie, i nie każde słowo było dla mnie zrozumiałe. Gdybym je zrozumiał, wbiłbym ci nóż w plecy.

Herim nie obraził się. Wes- tchnął ciężko. Milczał jakiś czas, ale żądze nie dawały mu spokoju.

— Gdy dotrzemy do lasu, być może upolujemy jakiegoś pta- ka czy zwierzę. Napełnię żołą- dek i ze źródła napiję się wo- dy. Gdzie jednak i kiedy za- spokoję swoje żądze, skoro mo- jego pana, Dagona, one nie tra- pia? On myśli tylko o władzy. Dla niego jest ona słodyczą i kochanką.

— Powiem ci coś, Herimie — roześmiał się Zytik, wesoło.

— Powiadają, że na Wschodzie jest kraina Kwen, to jest kra- ina kobiet. Pomyśl, dziesiątki kobiet, ba, setki kobiet. Uda- ję się tam, a będziesz mógł zasa- nąć rozkoszy z nimi, ile tylko zapragniesz.

— Czytałem o tym w uczo- nych księgach — przyznał He- rim. — Ale to nie są prawdzi- we kobiety, tylko wojowniczki. Świetnie jeżdżą na koniach i celnie strzelają z łuków. Sły- na z okrucieństwa. Po zaży- ciu rozkoszy z mężczyzną zabijają go. Dwa razy do roku urzadza- ją polowania na mężczyzn, chwytają ich, niewola, zazywa- ją rozkoszy i kładą trupem.

Nie wiedzą, co to miłość. Swo- je dzieci dają do wychowania eunuhom, chłopców zabijają, a z dziewczynek robią wojow- niczki. Nie chciałbym wpaść w ich ręce i zazywać z nimi roz- koszy. Dago, Panie i Piastunie, co myślisz o tych kobietach?

— Budzą mój wstręt — od- powiedział rzucił przez ramię.

— Zdaję się, że w ogóle nie lubisz kobiet — zauważył Zy- fik.

Dagon zatrzymał Vindosa. Powiedział nie odwracając głó- wy:

— Gdy byłem małym chłop- cem, kobieta, której zaufałem, podała mi truciznę. Padł od niej wielki czerwony byk. Od tego czasu przysięgałem sobie nawet wody nie brać od ko- biety, jeśli ona sama jej nie pokosztuje. Przed miesiącem ta ostrożność uratowała mi życie. Z taka samą ostrożnością bio- re od kobiety rozkosz.

Zapytał go Zytik:

— A czy ode mnie, chłopca, jak mnie nazywasz, przyjmiesz panie trochę wody z mietą? Dobrze sąsiaduję.

To mówiąc Zytik z kieszeni przy siódle wyjął tykwe i po- dał ją Dagonowi. A on wziął tykwe i długo pił chciwie wo- dę z mietą.

C.D.N.